ŚWIAT

Nr. 22

30. V. 1936

CENA 1 ZŁ.



Olga Sławska, primaballerina Opery Warszawskiej, wyznaczona została do reprezentacji polskiej na Olimpjadę taneczną w Berlinie.

PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

WROGOWIE SJONIZMU

Wydarzenia w Palestynie nie są już tylko lokalnym zatargiem. Charakter zaburzeń w Egipcie, Syrji, Jaffie, Tel-Aviv wskazuje, iż istnieje między niemi związek. Tym związkiem jest ruch o charakterze panmuzułmańskim. Rywalizacja mocarstw: Anglji i Francji, ostatnio Włoch — apetyty niemieckie czy sowieckie, zmierzające do utrudnienia panowania monopolu anglo-francuskiego w świecie muzułmańskim, komplikują również i sytuację w Palestynie.

Ciekawe dane na ten temat zamieszcza Piotr Bonardi w ostatniej „Tribune des Nations" — oto niektóre ustępy z jego artykułu.

„Pomiędzy ośmi złośliwości, które musiał znosić lud Izraela od chwili swego powrotu do ziemi przodków, najdotkliwsze było ukłucie angielskie. Imigranci żydowscy są uznawani przez Wysoki Komisarjat w Jerozolimie jako przeciwwaga potęgi arabskiej. Z chwilą, gdy Arabi zaczynają zanadto bruździć — Londyn proteguje sjonistów i ośmiela ich przyjaznym gestem i słowem. Z chwilą natomiast, gdy sjoniści stają się zbyt pewni siebie — Arabi uczą ich pokory, nakazanej przez Chrystusa...

Od czasu deklaracji Balfoura to jest już chyba z dziesiąte przechylanie się szali losu, ale rozruchy ostatnie znajdują głębszy oddźwięk, a Arabi mają nadzieję, że tym razem przechyla szalę na swoją stronę.

Przywódcy ruchu panarabskiego

Jednym z najbardziej oddanych ruchowi panarabskiemu przywódców jest Ibn-Seud, król Nedżu i Hedżasu. Abdallah jest przedstawicielem *wielkiej idei* panarabskiej swego zmarłego brata, Faisala, króla Iraku, ale Ibn-Seud posiada siły, niezbędne do odbudowania *wielkiego cesarstwa.*

Ibn-Seud, wróg rodziny Husseina, któremu odebrał tron Mekki, pogodził się z wnukiem Husseina, synem Faisala, suwerenem Iraku: Ghazzim. Podpisał z nim traktat pokoju i przyjaźni. Traktat ten obala cła i paszporty, jednoczy system monetarny i oświatę, zawiera sojusz wojskowy obronny i *zaczepny.*

3-go marca r. b. Ibn-Seud zaprosił na bankiet w Pałacu Królewskim w Mecce sześciuset najdostojniejszych pielgrzymów i wytłumaczył im z suratami w ręku, że Mahomet żądał zjednoczenia się wszystkich swych wyznawców.

Przyczyny obawy

Europejska opinja publiczna, pochłonięta przez tyle pasjonujących zagadnień i wydarzeń, interesuje się zbyt mało temi wszystkiemi detalami, które mimo pozornej małej wagi mają dla równowagi światowej większe znaczenie, niż podbój Abisynji.

Aneksja Abisynji przez Italję jest i zostanie jedynie kartą z historji *kolonjalnej,* mimo pragnienia Ligi Narodów na przetworzenie jej w konflikt europejski. Wydarzenia Arabji, Egiptu, Palestyny i Syrji grożą naruszeniem równowagi Imperjum brytyjskiego i Imperjum francuskiego.

W dniu kiedy rozruchy Kairu, Damaszku i Jaffy uzyskają łączność i powagę świętej wojny, zobaczymy, jakie wrzenie mogą wywołać na północy Afryki.

A Abdallah tej łączności i powagi żąda, a Ibn Seud jest w trakcie ich realizowania. Nie twierdzę, że stanie się to już jutro, ale... każda rzecz przychodzi o godzinie, ktorą Allah naznaczył.

Argument arabski

W międzyczasie krew sjonistyczna zrosiła jeszcze raz pola Abrahama — reakcja arabska przeciw obcemu zalewowi...

— Ale czemu się skarżą, skoro Żydzi zajmują tylko te ziemie, które im zostały przez Arabów sprzedane i to po wysokiej cenie?

— Obawiają się dążeń nowych mieszkańców do administrowania w kraju, w którym pracują? której weszli i do której wnieśli bezwątpienia wiele dobrobytu.

— Więc Żydzi nigdy nie będą mieli prawa współadministrowania kraju, w którym pracują? Słusznie twierdzą przecież: jest nas czterysta tysięcy, a uczyniliśmy z pustyni ogród, fabrykę, jeden z najbogatszych krajów świata. Chcemy brać czynny udział w życiu politycznem, gdyż stanowimy 1/3 ludności kraju. Mamy prawo do pracy, prawo do postępu!

— Nie — odpowiada Arab.

Mija dokładnie dziesięć lat, gdy u dawnego burmistrza Jerozolimy, Mussa Hazim paszy, zresztą husseinisty, dyskutowałem z Said Beyem, dawnym ministrem Faisala, który jest, zdaje się, obecnie ministrem Ghazziego, króla Iraku.

— No więc dlaczego, Said Beyu! — wykrzyknąłem — uważacie za najeźdźców ludzi, którym sami sprzedaliście ziemię? Nie należało im sprzedawać!

— Gdybym miał pieniądze — odparł Said Bey — i kupiłbym Paryż i Londyn, to nie uczyniłoby to ze mnie ani obywatela francuskiego, ani angielskiego. Żydom nie pozostaje nic innego, jak poddać się naszym prawom.

Dziesięć lat! Sytuacja się nie zmieniła. Argumenty arabskie również.

Niech Anglja czuwa, a agitacja upadnie sama z siebie. Tak, ale wówczas Żydzi podniosą głowę. Szala wagi przechyli się na stronę sjonistów. Tego Anglja z pewnością nie chce, jak również nie chce uśmiechnąć się łaskawie do Arabów, gdyż wówczas powrotny ruch wagi byłby zbyt szybki, zbyt trudny do zahamowania.

Jeżeli ruch skieruje się na tory imperjalizmu egipskiego — biada Francji.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 22 30. V. 1936

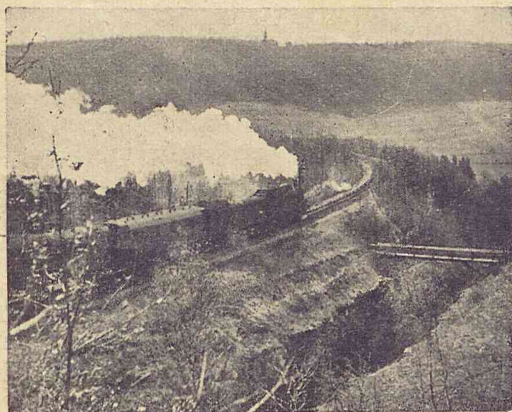
WIOSNA w CAŁEJ PEŁNI



W Helston, w Kornwalji, w rozkwicie wiosny odbywają się na trawie tradycyjne „tańce kwiatowe"



Największe na świecie schronisko turystyczne dla młodzieży, w przerobionym na ten cel starym zamku, Hohnstein, w Niemczech, liczy tylko... 950 łóżek!



Jedziemy w „nieznane!"



Radosny taniec w parku w angielskiej szkole tańca Margaret Morris.



Stół Szwecji.

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

WYSTAWA DEKORACJI STOŁÓW W I. P. S.

Wystawa obecna w Instytucie Propagandy Sztuki jest niezbitym dowodem, do jakiego stopnia publiczność nasza, wbrew wszelkim legendom, łaknie sztuki i jak specjalnie interesuje ją wszystko to, co dotyczy estetyki życia codziennego. Tłumy, jakich IPS nie widział oddawna, zalegają sale wystawowe, całe godziny poświęcając na uważne oglądanie i komentowanie rzeczy tak, zdawałoby się, od naszej szarej codzienności dalekiej, jak estetycznie udekorowany stół. Kilkanaście poselstw i ambasad wzięło udział w tym ciekawym pokazie. Polska wystawiła trzy stoły poza konkursem.

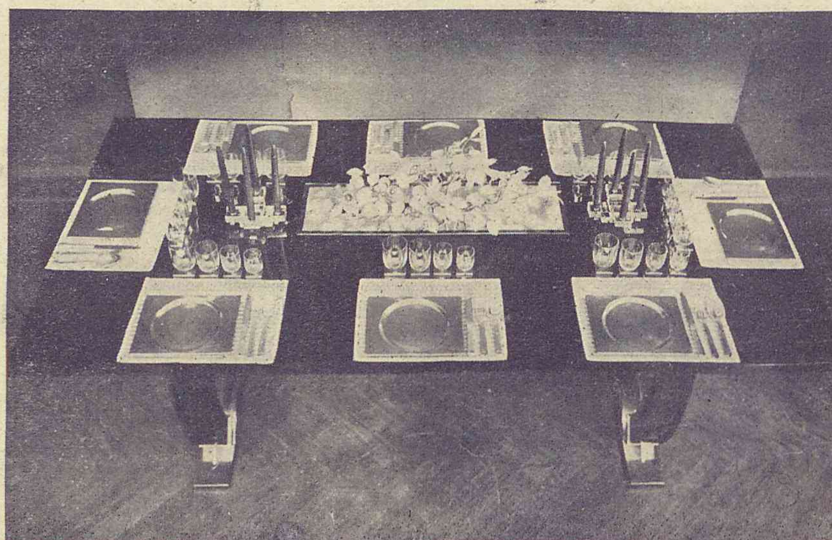
Zanim omówimy poszczególne eksponaty, podkreślić należy charakter wystawy i związanego z nią konkursu. Tematem była dekoracja stołu do śniadania na osiem osób. (Do śniadania w znaczeniu europejskiem — czyli lunchu). Wszystkie przedmioty użyte do dekoracji musiały, w myśl przepisów konkursu, pochodzić z danego kraju — epoka jednak nie była ściśle podyktowana. Zarówno dekoracje nowoczesne, jak antyczne dopuszczane były do konkursu na równych prawach.

Program konkursu pozwalał pozatem na uwzględnienie w dekoracji stołu dowolnie obranego momentu podczas posiłku: przed rozpoczęciem śniadania, podczas jednej z potraw, lub przy deserze. Dawało to dekoratorom możność szerszego operowania efektami kolorystycznemi, zestrajania np. kolorów kwiatów i wina w kieliszkach, lub owoców na talerzach. Jednak nikt nie skorzystał z tej niewątpliwie interesującej możliwości i dekorację stołu pokazano nam wszędzie nie w czasie „akcji", lecz na punkcie martwym, że się tak wyrażę — mianowicie przed rozpoczęciem posiłku. Więc przy szklankach i talerzach pustych.

Wynikało to prawdopodobnie z chęci uwydatnienia piękna użytych szczegółów dekoracyjnych— a piękno to jest istotnie w niektórych wypadkach wprost nieporównane.

Bezwzględnie na pierwszem miejscu postawić należy przepyszny, ponad wszelkie superlatywy piękny i sharmonizowany nowoczesny stół Szwecji. Zupełnie słusznie przyznano mu I nagrodę. Długi, dość wąski ciemny dębowy stół skomponowano w trzy pasy, biegnące przez całą jego długość. Pas środkowy zajmuje gładka, polerowana, ale nie oślepiająca powierzchnia złotawa, wykonana z metalu. Pasy boczne, węższe, te, na których stoją talerze, przykryte są wąskiemi długiemi makatkami jedwabnemi (a może lnianemi, trudno to odróżnić zdaleka) — koloru starego złota. Na nich ustawiono bardzo piękne talerze z porcelany białej ze złotemi brzegami i przecudowne rżnięte kryształowe kielichy, z lekką dekoracją złotą. Świetne, oryginalne w kształcie, podstawki do świec, białe ze złotem. W nich długie świece koloru kremowego.

Tę wytworną harmonję biało-złotą uzupełniono dekoracją kwiatową niezwykle piękną: na dwuch końcach stołu ustawiono kosze, w których piaskowo - złote storczyki zmieszane są z bratkami w kolorze rdzawo - winnym. Środek stołu zajmuje kompozycja barwna, złożona z owoców: złociste ananasy, ciemno - fjoletowe winogrona i złoto - żółte duże śliwki z liśćmi. Żaden opis dać nie może nawet przybliżonego pojęcia o wrażeniu harmonji, piękna, bogactwa, a jednocześnie intymności tej wybitnej dekoracji. Wykonały ją panie Boheman, małżonka posła szwedzkiego w Pol-



Stół Francji.

sce, oraz p. Astrid Sampe, kierowniczka działu dekoracji wnętrz w „Nordiska Kompaniet“ w Sztokholmie.

Na drugiem miejscu postawiłabym ex-aequo Francję i Belgję. Trudno wybrać, gdyż każda z nich dała rzecz dużej wartości artystycznej: Francja w duchu najnowocześniejszym, Belgja w sensie pięknej tradycji.

Stół Francji — mahoniowy, polerowany, prostokątny, jest zupełnie nagi. Na kremowych serwetkach „Point de Nice“ ustawiono fajansowe kwadratowe talerze całe złocone. (Uwaga: rytm ich kształtów kanciasto - geometrycznych i nowoczesnych dobrze uwydatnia nasze zdjęcie). Na końcach stołu, w kryształowych niziutkich świecznikach ustawiono po cztery blado-różowe świece. (Jedyny to akcent barwny w tej kompozycji). Centrum stołu zajmuje surtout złożone ze stylizowanych, dziwnych kwiatów ze szkła i złota. Krępe, moderne kieliszki, zwartemi szeregami po cztery trzymają wartę przed każdym talerzem. Ścianę, przy której stoi ten stół, udekorowano prześlicznym obrazem olejnym Marji Laurencin, bardzo nowoczesnym, w dyskretnych, świeżych kolorach. Jasno - różowa draperja w tle tego obrazu jest ściśle tego koloru, co różowe świece, ustawione na stole. Charakterystyka ogólna całości dekoracji francuskiej: wybitne poczucie proporcji i rozplanowania. Nowoczesność w najlepszem znaczeniu, przefiltrowana przez całe wieki wykwintu. Szczytna umiejętność zestrajania szczegółów. Świadome wyrzeczenie się wszelkiego nadmiaru, wszelkiego przeładowania. Smak francuski święci tu wielki, niezaprzeczony tryumf, i to w sztuce moderne, gdzie mu niektórzy odmawiać zwykli zasług i poczucia stylu. Bajki wierutne, jak się okazuje.

Piękny stół udekorowany cennemi antykami wystawiła natomiast Belgja. Obrus na tym stole — to istne cudo: cały z bezcennej koronki „Vieux Flandre“ w kolorze kości słoniowej. (Jako ciekawostkę przytoczyć można, że sam ten obrus ubezpieczono podobno na 200 tysięcy złotych). Nie dlatego jednak jest on piękny, że taki kosztowny — ale dlatego, że w starym kunszcie koronkarskim Belgja ma mało sobie równych, i



Stół Holandji.

że eksponat, przysłany do Warszawy na wystawę, należy do najpiękniejszych, jakie istnieją.

Doskonale uzupełnia świetność obrusa piękna srebrna waza z XVIII-go wieku, stanowiąca centrum dekoracji. Stare szkło, oraz talerze z porcelany „Vieux Tournai“, o szerokim ciemno - fjoletowym brzegu, sharmonizowano bardzo szczęśliwie z dekoracją kwiatową, złożoną z pęczków ciemno - fjoletowych bratków, ułożonych ciasno dokoła podstawy wazy w kształcie wieńca, oraz przedłużonych w prostym układzie ku obu końcom stołu. Piękny pejzaż olejny, zawieszony poza tym czarującym stołem, utrzymany jest w tonach spokojnych, złoto - bronzowych, i niezwykle pomyślnie podkreśla walory dyskretnego przepychu, stanowiącego cechę charakterystyczną stołu belgijskiego. Bardzo stara kultura, bardzo wspaniała sztuka, bardzo wielka zamożność i pokolenia całe ludzi rozmiłowanych w pięknie — oto czynniki, z których składa się wyjątkowy eksponat Belgji. Dekoracja ta wykonana została staraniem p. Georges Vaxelaire w Brukseli.

Równorzędne dalej przyznałabym walory stołom Grecji i Italji. Oba odznaczają się przyjemnym modernizmem i oba postawiły sobie zadania przedewszystkiem kolorystyczne.

Włochy dały stół okrągły, ustawiony na tle miękkiej, aksamitnej draperji w tonach piaskowych. Obrus żółtawy z odcieniem różowawym, szklanki ze szkła Murano w tonach łososiowych, centrum stołu — ułożone w płaskiej czarze azalje łososiowe. Porcelana moderne, biała ze stylizowanemi motywami w kolorze saumon. Wreszcie, jako akcent odmienny,



Stół Grecji.

cztery świece błękitne, tego samego koloru błękitnego, co dwa pod ścianą na tle aksamitu ustawione wielkie wazony renesansowe.

Całość — wybitnie pogodna, wesoła, świetnie nastrajająca do miłego zebrania towarzyskiego. I bardzo estetyczna, z widocznym programem pokazania włoskiej sztuki dzisiejszej, bez sięgania do skarbnicy rzeczy starych.

Grecja dała stół nakryty raczej do podwieczorku, niż do śniadania. Jasnoniebieski obrus jedwabny, ręcznie tkany, całą część środkową ma wypracowaną w ażury, przez które przebija bladoróżowy podłożony spód. Tego samego tonu bladoróżowe duże goździki w dwuch pękach zdobią końce stołu. Środek zajmuje srebrna czara, na której ułożono ciemnogranatowe winogrona. Talerze srebrne, kute w wypukły ornament, oparty na motywie winogron. Kieliszki kryształowe, grubo rżnięte, dopełniają bardzo estetycznej całości.

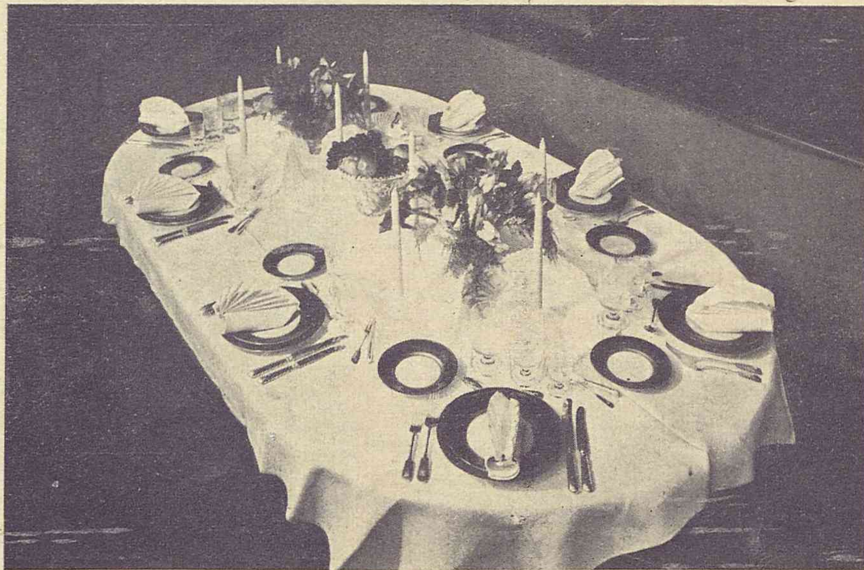
Stół Czechosłowacji, tradycyjnego kraju pięknych kryształów, wykwintnej porcelany i bielizny stołowej, wypadł mniej efektownie niż można się było spodziewać. Poprostu jest może aż za dyskretny w zestawieniach barwnych i zbyt wstrzemięźliwy w stosowaniu tych elementów dekoracyjnych, któremi sztuka czeska i przemysł czeski rozporządzają. Obrus jasno-piaskowy stanowi bardzo przyjemne tło dla bladolila kryształowych moserowskich lichtarzy i paterek. Te śliczne, jak w ametyście rżnięte cacka, niepotrzebnie zestawiono z kieliszkami, rżniętemi w krysztale bezbarwnym. Całość utrzymana w kolorze ametystów byłaby dała efekt bez porównania pełniejszy. Zwłaszcza, że tło dla tego stołu stanowi dużych rozmiarów pejzaż — widok Pragi, zapewne, — w tych samych tonach liljowych utrzymany. Dobre akcenty barwne dają ułożone na ametystowych paterach czerwone truskawki — ale znów niepotrzebnie dodano jeszcze jeden ton w tej gamie: kosz różowych goździków pośrodku stołu. Harmonja tonów piaskowo-ametystowo-czerwonych byłaby bez porównania bardziej skoncentrowana i oryginalna.

Niemcy, kurtuazyjnie wyróżnione II nagrodą, wystąpiły bardzo starannie, w dobrym tonie, ale mało indywidualnie. Dekoracja ich stołu jest raczej zimna, wygląda jak z doskonałego sklepu dekoracyjnego, nie zaś jak prawdziwy, „żywy" stół, przy którym za chwilę mają zasiąść ludzie. (Np. jak stół Szwecji, Belgji, czy Włoch). Całość utrzymana w tonach kości słoniowej, obrus w nieco ciemniejsze jedwabne pasy, kremowe świece, i żółtawo-bronzowe gałęzie storczyków.

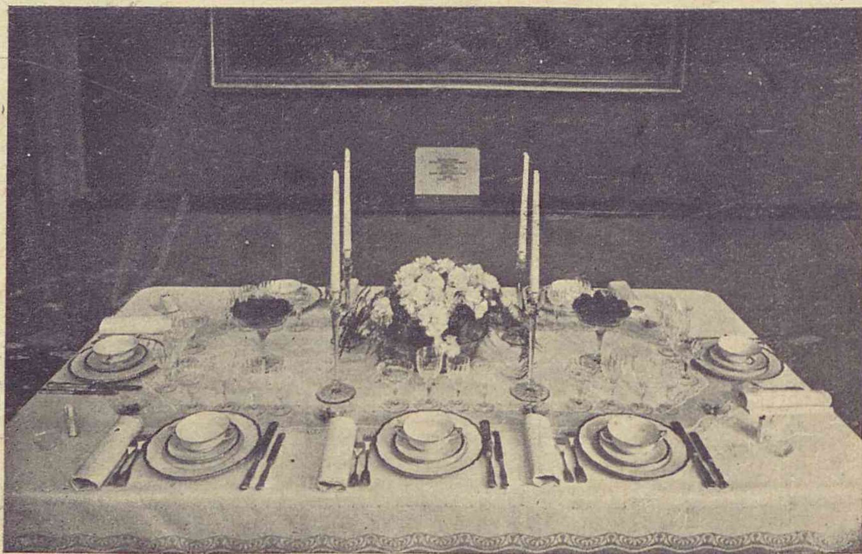
Holandja stworzyła bardzo sugestywny ensemble, dekorując ścianę za stołem pięknym starym szalem jedwabnym w niebieskie motywy. W tym samym tonie stara porcelana zdobi stół, nakryty białym obrusem. Dekoracja kwiatowa nieco za skromna — kilka pęczków fiołków, ułożonych na płaskim dużym talerzu pośrodku stołu. Srebro i szkło nowoczesne.

Stany Zjednoczone wystawiły dekorację odpowiednią raczej do podwieczorku. Stół z rudawego palisandru, gładki, bez obrusa, z którym pięknie harmonizują kieliszki ze starego szkła amerykańskiego, w tonie ciemnego bursztynu. Białe siatkowe serwetki pod talerzami, więź białych drobnych kwiatków zdobi środek stołu. Barwne talerze i komicznie kolorkowe cukierki-pomadki, ustawione w płaskich czarkach, tworzą trzecią paralelę kolorystyczną. Całość świeża, bezpretensjonalna, ale zepsuta przez brzydką tkaninę w wielkie granatowe motywy, zawieszoną za stołem na ścianie. Że tkanina jest stara (jak na Amerykę) — to jeszcze nie powód, żeby nią rozstrajać harmonijną skądinąd dekorację.

Austrji stół wywoływał najsprzeczniejsze komentarze. Otrzymał II nagrodę — według mnie, o wiele za dużo. Według



Stół Finlandji.



Stół Czechosłowacji.

niektórych osób z pośród publiczności — powinien był natomiast dostać I nagrodę...

Stół wygląda tak: duży okrągły, nakryty morelowym jedwabnym obrusem, który zwisając naokoło, nieodparcie przypomina damskie dessous pod suknie. Cała dekoracja stołu — biała, i szalenie obfita — sprawia wrażenie stołu ślubnego w bogatym, ale nie wyrafinowanym domu burżuazyjnym. Centrum stołu zajmuje wielka kompozycja zrobiona z żywych lilji i narcyzów, w które wplątano wielką srebrną rybę — czy delfina — a naokoło tego klombu ustawiono i świece, i porcelanowe białe figurynki na koniach — Boże, czego tam niema... Odchodzi się z pośpiechem ku stołowi Francji, aby zobaczyć, jak to małą ilością osiąga się wysokie artystyczne efekty.

Ale szerokiej publiczności stół Austrji podoba się niezmiernie.

Finlandja dała stół, którego nastrój przypomina charakter tego kraju i ludzi: poważnych i skupionych. Biały obrus, takież talerze o szerokim, granatowym brzegu. Centrum stołu — czara kryształowa z ciemnogranatowemi winogronami, i dwa wazony z żałobnemi, fioletowo-czarnemi irysami. Całość bardzo spokojna, cokolwieczek martwa, nadaje się na poważne zebranie starszych ludzi, mających obradować o ważnych sprawach. Efekt psuje powieszony na ścianie za stołem brzydki dywan, brudno-buro-niebieski, niesharmonizowany z niczem, — podobno stary i cenny. Nie wystarcza to wcale, aby był do tej dekoracji stosowny.

I nagrodę (narówni ze Szwecją) otrzymały Chiny, zapewne za oryginalność dekoracji: sztućców na tym stole niema, tylko barwne zabawne pałeczki. Porcelana chińska — wiadomo, bardzo piękna. Dziwne, niezrozumiałe dla europejczyka przedmioty, większe i mniejsze. Trochę wszystkiego za gęsto. W tle bardzo piękna granatowo-srebrna materja chińska.

Poza konkursem wystawia Argentyna — też nader oryginalnie, ale brzydko. Stolik i zastawa do picia „Mate" — ze srebra argentyńskiego. Dekoracja ścian — wyroby ludowe, nader prymitywne, jakieś skóry, efekty namiotów półdzikich ludzi. Całość bez poziomu kulturalnego.

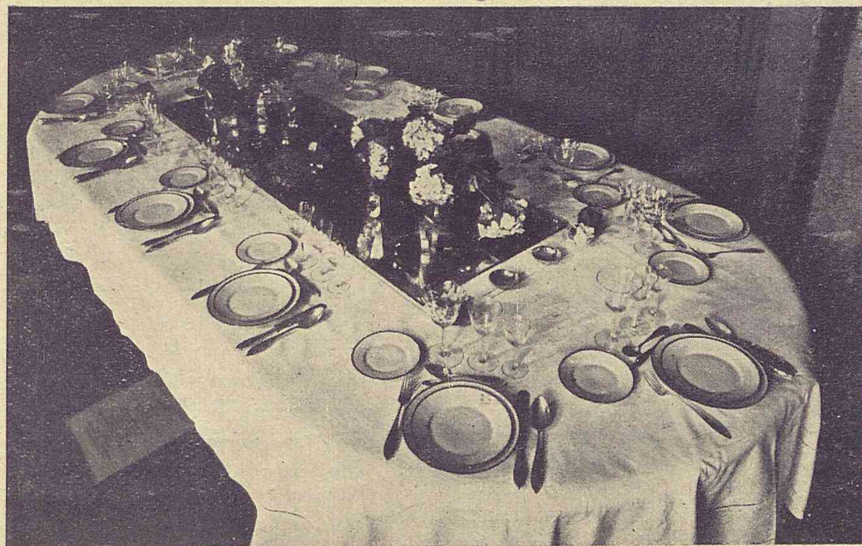
Norwegja dała stół nakryty rudym szalem tureckim (!). Nie można powiedzieć, aby to specjalnie apetycznie wyglądało. Na tem — porcelana chińska, niebieskawa, śliczne szkło nowoczesne i źle dobrane kwiaty w centrum stołu; białe i blado-lila lewkonje, najzupełniej zabite przez mocny kolor obrusa.

Węgry wystawiły poprawny w kompozycji stół okrągły, dekorowany srebrem i porcelaną z początków wieku XIX. Bardzo ładna linja kandelabrów.

Polskie stoły — wystawione poza konkursem, — są trzy: jeden całkowicie udekorowany jest antykami: starem srebrem, starą porcelaną Belwederską, szkłem urzeckiem, sztućcami z Korca. Są tam poszczególne piękne przedmioty, niestety niedość ściśle dobrane w stylu. Waza srebrna pośrodku stołu jest empirowa, lichtarze zaś — niebardzo wiadomo jakie. Dwa szafirowe wazony znów empirowe, ale dwa koszyczki porcelanowe na końcach stołu — całkiem z innej rodziny. Szkło bardzo piękne i rzadkie — niestety niedobrane. Czyż doprawdy w całej Polsce niemożliwością było zebranie szkła pięknego — i ściśle dobranego — na osiem osób?

Stół nowoczesny, dekorowany przez p. Prażmowską, stoi na poziomie najlepszych eksponatów. Biały obrus, centrum z tafli lustrzanej, porcelana biała ze srebrną obwódką — do tego dekoracja kwiatowa z lila hortensji i żałobnych irysów. Bardzo dyskretny, dystyngowany, stół ten wykazuje, że zarówno polska porcelana (Ćmielów), jak polskie szkło (Zawiercie) osiągają poziom najzupełniej europejski i śmiało mogą być używane do wytwornej dekoracji, bez uciekania się do wyrobów zagranicznych.

Dekoracja stołu myśliwskiego trochę zawiodła. Jak na zgubioną w lasach leśniczówkę — miałaby za kosztowny stół (stary gdański), i zbyt cenne, stare polskie grubo rżnięte kieliszki. Jak na stół przygotowany w zameczku, czy we dworze — razi chłopskiemi b. prymitywnemi miskami, i blaszanemi, kuchennemi sztućcami. Choć niezupełnie zdecydowany w charakterze i przeznaczeniu — pozatem kolorystycznie stół ten jest bardzo przyjemny. Szafirowa tkanina, rzucona zamiast obrusa, tworzy doskonałe tło dla zielonawo-żółtych misek, których kolor przypominają stojące pod ścianą jabłka w koszach i zielonawe buldeneże w dzbanie.



Stół Polski.

Polskim wystawcom zrobiłabym pozatem jeden zarzut: czemu nie skorzystano z okazji, aby, poza konkursem właśnie, pokazać rzeczy tak charakterystyczne dla obyczaju polskiego, jak stół Wielkanocny, stół Wigilijny, ewentualnie stół dożynkowy, i jeszcze jakie obrzędowe dekoracje okolicznościowe? Nietylko polska publiczność przyglądałaby się takim stołom — pięknie skomponowanym — z zainteresowaniem. Byłaby to także propaganda wobec naszych zagranicznych gości, którzy z obecnego pokazu niewielkie mieć będą wyobrażenie o tak charakterystycznej czasem dekoracji stołów w Polsce.

A JA SOBIE STOJĘ W KOLE...

Frontem... do szarego obywatela

Mamy w Warszawie gmach zwany Teatrem Wielkim. W gmachu tym ongi była Opera, ostatnio Opera i Operetka. Jeden z ozdobniejszych gmachów Warszawy posiada piękny podjazd pod kolumnami. Przez wiele lat pod te kolumny podjeżdżały pojazdy, przywożące widzów. Powozy, karety, parokonki, „sałaciarze" jednokonni — wszystko to ongiś „waliło" pod operę. Czasy się zmieniły. Limuzyny, cabriolety, readstery — zajeżdżały nie tak dawno pod drzwi reprezentacyjnego teatru Warszawy.

Dziś nowy okres: kryzys! Szary człowiek się rozmnożył. Znów ku operze zdążają jednokonki, stare Fordy, Fiaty — taksówki, czasem zalśni auto dygnitarskie, czasem niedotłuczony „wolny" przemysłowiec zajedzie jakąś resztką zmotoryzowaną. Ci mogą podjeżdżać pod kolumnadę. Szary człowiek jednak, szary widz — nie ma tego prawa. Jego taksówka czy dorożka nie podjadą pod dach podjazdu!

Choćby była ulewa, oberwanie chmury, to pani doktorowa, mecenasowa, czy kobieta pracująca samodzielnie musi ryzykować swe ciężko zdobyte okrycie, pantofelki, pończochy, czasem kapelusz lub fryzurę!—musi wysiadać na mokry asfalt.

Kryty podjazd, skomponowany przez architekta, jako podjazd, dostępny jest tylko dla posiadaczy aut prywatnych i urzędowych!

Inna rzecz, że w aucie urzędowym może zajechać... drugi sekretarz trzeciego wiceministra, a, dajmy na to, zasłużona senatorka lub członkini Akademji Literackiej, podjeżdżająca jednokonką, nie posiada tego przywileju.

Kto wydał ten nonsensowny zakaz? Dlaczego „szary widz", płacący za bilet musi ryzykować zmoknięcie? Dlaczego nawet wygodniejsze wysiadanie z pojazdu ma być przywilejem?

Czy to jest „front" do szarego człowieka? czy to jest popieranie opery przez tego rodzaju „ułatwienia". Kiedy po przedstawieniu leje deszcz, dorożka ani taksówka nie mogą podjechać po pasażerów, którzy nie chcieliby zmoknąć. Żona urzędnika (tego wyższego, co ma prawo do auta) ma zabezpieczone wsiadanie suchą stopą. Inne kobiety niech mokną, niech brną po wodzie. Parasol niezawsze jest pod ręką — deszcz może być nagły — po przedstawieniu.

A możeby pan komisarz ruchu wniknął w ten nonsens i udostępnił dojazd do opery dla wszystkich?

Przedsiębiorczy synek.

Uniwersytet w Harwardzie obchodził ostatnio 300-set lecie. Uroczysty obchód wysunął oczywiście na pierwsze miejsce profesora chemji James'a B. Conaut'a — rektora uniwersytetu. Ogromnie z tego był dumny mały Teddy — dziewięcioletni synek rektora. Od pewnego jednak czasu Teddy przychodził do ojca z dziwnemi propozycjami: „Tatusiu, wypróbuj, jak pisze moje nowe wieczne pióro! Tatusiu, podpisz mi ten papierek. Tatusiu, jak powinno się dokładnie pisać twoje nazwisko?"

Rektor, wybitny chemik, człowiek zawalony pracą naukową i organizacyjną, jubileuszową — w roztargnieniu, lub na odczepne — pisał i podpisywał.

Wreszcie, w jakiejś wolniejszej chwili zastanowił się. Po małej kontroli okazało się, że mały Teddy, syn wielkiego ojca, był bardzo przedsiębiorczy. Oto, poprostu sprzedawał autografy swego ojca!

Scyzoryki, pudełka z ołówkami, marki, piłki tenisowe i footbalowe zapełniały szuflady młodego... finansisty. Teddy dostał klapsy. Autografy rektora stały się rzadsze (poszły zapewne w cenie). Znakomity chemik martwił się jako rektor, ale pewnie cieszył jako ojciec, przewidując karjerę bardziej realną, bardziej finansową swego syna, niż droga profesury. Nawet profesury w Harwardzie.

Wypadki tramwajowe.

Przeglądając rubrykę wypadków tramwajowych w ciągu ostatnich wiosennych miesięcy, ma się wrażenie wielkiego ich wzrostu. Podobno skrupulatna statystyka potwierdza ten fakt. Czemu to przypisać? Zapytany na ten temat jeden z motorniczych — na stacji końcowej („Motorniczemu podczas jazdy nie wolno rozmawiać"), odpowiedział: „Tak jest, wypadki mogą być coraz częstsze, bo nasz materjał zużywa się, a nie jest równie silnie uzupełniany i remontowany, jak dawniej. Zdarza się, że tylko z trudem panujemy nad hamulcami.

Tempo inwestycji zmniejszyło się. Za dużo zabiera się z dochodu tramwajów na potrzeby miasta. Ja nie mogę wiedzieć, czy tak być musi, ale ja wiem, że tabor się zużywa i że nie jest dostatecznie szybko na nasz wzmagający się ruch doprowadzany do porządku".

Czy niepanowanie nad hamulcami łączyć z liczbą wypadków? Czy ten motorniczy, który zna tylko jeden odcinek gospodarki tramwajowej, ma rację? Nie wiemy.

Zwracamy uwagę na pewne objawy. Tak jak nie możemy przemilczeć wzmożenia się zaśmiecenia wozów tramwajowych. Od paru miesięcy jest to objaw stały. Nieszczelne, lub opadające okna, rozpaczliwe czasem hamowanie wozów, umożliwiające pasażerom branie udziału w zabawie „baran trik", śmiecie w wozach — to fakty, które bez rozmowy z motorniczym każdy zauważy. Czasem nawet ma je utrwalone guzem na czole.

Obywatel Zero.

...I WYBIERAM TO, CO WOLĘ.

KRONIKA LITERACKA

Co słychać w Akademji Francuskiej?

15 maja opróżnił się nowy fotel pod Kopułą z chwilą śmierci wielkiego adwokata Henri - Robert. Skoro sztuka oratorska od najdawniejszych czasów należy do literatury, wypada wspomnieć o nim słów parę.

Henri-Robert był prawdziwym mistrzem wymowy. On to pierwszy zastąpił teatralny sztuczny sposób przemawiania w obliczu prawa najzupełniej naturalnym i swobodnym. Umiał nadzwyczajnie dobierać argumenty, które następowały jedne po drugich z ogromną szybkością i zdawały się mnożyć w jego ustach. A jednak mowy jego nigdy nie trwały dłużej od godziny. Według zasady Napoleona, że jedynym skutecznym sposobem obrony jest atakowanie, obrona w ręku Henri-Roberta stawała się oskarżeniem, ale oskarżeniem skierowanem przeciwko innemu, realnemu czy abstrakcyjnemu winowajcy. W tem właśnie odwracaniu oskarżeń Henri-Robert celował z wielkim sukcesem, bo, jak powiedział Fernand Payen, Francuzi są narodem kłótliwym, więc ta metoda agresywna przypadała im do smaku, a sumienie jury i publiczności odnajdywało spokój, mając na kogo zrzucić odpowiedzialność.

Pierwszy głośny proces, w którym brał udział Henri-Robert, to proces Chambige'a, który się odbył w r. 1888. Chambige był to młody powieściopisarz, przyjaciel Pawła Bourget'a i całej ówczesnej młodzieży literackiej, który zabił swą kochankę, będącą żoną inżyniera i matką dwojga dzieci, a zabił ją zdaje się, że głównie w celu zwrócenia na siebie uwagi.

W tym procesie Henri-Robert przygotował całą obronę dla M-e Durier. Wspomnienie Chambige'a przetrwało w powieści Bourget'a „Le Disciple".

Od r. 1923 Henri-Robert był członkiem Akademji Francuskiej. W ostatnich latach dotknięty ślepotą, mimo tak uciążliwego kalectwa, nie przerywał pracy adwokackiej, ani publicystycznej. Poraz ostatni przemawiał publicznie nad grobem Jacques Bainville'a, kolegi swego z Akademji, w lutym bieżącym roku.

Henri-Robert wyróżniał się tem jeszcze, że był człowiekiem, który napisał najwięcej przedmów we Francji. „Mówi się, że Valéry ma rekord przedmów, wzdychał Henri-Robert — ale to nieprawda". W ostatnich latach istotnie Valéry napisał więcej przedmów od Henri-Robert'a, ale ten przez jakieś lat trzydzieści regularnie dostarczał po dwie — trzy przedmowy rocznie. A trzeba dodać, że nie mniej niż pięćdziesiąt osób rocznie zwracało się do niego z prośbą o napisanie przedmowy. To też Henri-Robert z pewnością pobił rekord Pawła Valéry.

W przyszłym miesiącu, 11 i 25 czerwca zajmą należne im miejsca pod Kopułą Louis Gillet i Georges Duhamel, wybrani w listopadzie ubiegłego roku. Warto przypomnieć, że Leon Bérard nie kwapi się do przymierzenia zielonego fraka, bo już od dwóch lat wybrany, jeszcze nie napisał swej mowy.

Nagrody

Francja znów wchodzi w sezon nagród, który powtarza się dwa razy do roku.. Rozpoczyna go tym razem nagroda Albert — Londres i nagroda Vikingów.

Fundator nagrody Vikingów, który od wrażenia, jakie zrobiła w Norwegji książka Maurice Bedel'a „Jerôme 60°", a ściśle mówiąc od lat dziesięciu, przeznacza corocznie na ten cel 10.000 franków, opuścił niedawno Paryż, co wzbudziło pewne zaniepokojenie. Jednak okazało się, że mimo powrotu do kraju , anonimowy dobroczyńca nie zaprzestał interesować się swem dziełem i rodzinie pozostałej w Paryżu przekazał wypłacanie co rok nagrody.

W krótkim czasie po tych dwóch pierwszych posypią się i inne nagrody: Prix du Roman d'Aventures, Prix Populiste, Prix de la Critique, de la Renaissance, de, de... Prix du Roman otrzyma zapewne Georges Bernanos, a Prix de Litterature — Pierre Camo.

Nowy scenarjusz filmowy H. G. Wells'a

H. G. Wells wydał ostatnio swój drugi scenarjusz filmowy, dzięki któremu powinniśmy otrzymać bardzo ciekawy i zabawny film. Scenarjusz oparł Wells na swej noweli, napisanej czterdzieści lat temu pod tym samym tytułem: „Człowiek, który mógł czynić cuda". Nowela ta opowiadała, jak to Fotheringay, subjekt w składzie sukna, został obdarzony władcą czynienia cudów i w jaki sposób przez dni kilka władzy tej używał, o mało nie wywracając ziemi do góry nogami. W obecnej wersji, oprócz całej prawie treści dawnej noweli. Znajdujemy wiele nowych wydarzeń — drobnych, wprowadzonych tylko w celu zabawienia publiczności, i ważnych, zawierających aluzje polityczne i filozoficzne, a nawet rozciągających zasadę przyszłego filmu prawie w nieskończoność.

Jak ten przyszły film w rzeczywistości będzie się przedstawiał, jest tembardziej interesujące, że obecny scenarjusz pozostawia bardzo dużo wolnego miejsca dla wyobraźni reżysera. Jedynie djalogi podane są w całości, a wskazówki co do samych scen, czy nawet postaci, są nadzwyczaj pobieżne i niedokładne.

L. Buyno

Tajemnica starej sekretery

Nareszcie. Nareszcie spóźnione słońce i ciepło tegorocznej wiosny zatryumfowało zwycięsko. Soczysta zieleń młodych liści, bujnej, puszystej trawy, biel konwalij i narcyzów, ciężki upajający zapach bzów, wszystko zespalało się w symfonję uroku i radości wiosennej.

W Łazienkach nietylko stare drzewa, gipsowe i kamienne posążki, staw, amfiteatr teatralny, Biały Domek i Pałac królewski tchnęły zaklętym w nich romantyzmem.

To tu, to tam ktoś westchnął; to tu, to tam rozległ się przyciszony srebrzysty śmiech; to tu, to tam ktoś komuś ofiarował szklanną górę lub gwiazdę z nieba i ukradł pocałunek przeciągły.

W jednej z odleglejszych alei, w cieniu skupiny poważnych świerków, na samotnej ławeczce siedziała panna Stasia. Samotność i czarna, skromna sukienka dziwnie nie licowały z ogólnym roześmianym, barwnym nastrojem, jaki panował w całym parku Łazienkowskim, w całym świecie, który objęła pod swe panowanie wiosna.

Jasne włosy niesfornie wychylały się z pod małego toczka panny Stasi, a oczy trochę niespokojnie, trochę niecierpliwie, od czasu do czasu rzucały spojrzenie ku wylotowi cichej alei.

Panna Stasia czekała. Czekała i to niespokojnie. Kto wie, od rozmowy jaka miała nastąpić zależał może jej los. Od rozmowy tej zależało, czy i dla jej serca wiosna zakróluje, czy też gorycz i rozczarowanie będą napojem o piołunowym smaku, które u progu życia przyjdzie jej wychylić. Panna Stasia czekała. Czekała z niepokojem. Parę tygodni temu nie wiedziała, co to niepokój. Wówczas nie ona, ale Stefan na nią czekał.

Dziś wszystko się zmieniło.

Ojciec umarł. Umarł nagle. Skromna pensyjka panny Stasi nie pozwalała na koszt mieszkania trzypokojowego. Wszystkie oszczędności poszły na pogrzeb. Niespodziewanie spadł jakiś stary dług, jeszcze z czasu choroby matki. Panna Stasia nie miała pieniędzy. Zabrano większą część mebli. Pozostałe parę bardziej wartościowych miało iść pod młotek licytacyjny jutro.

Pan Stefan przez pierwszy tydzień żałoby opiekował się narzeczoną czule i troskliwie. Stroskana, spłakana, zupełnie osamotniona dziewczyna garnęła się i tuliła doń ufnie. serdecznie. Kiedy przyszły pierwsze kłopoty, pan Stefan praktycznie doradzał swej Stasi i wspólnie z nią skrupulatnie szukał w szufladkach i schowkach biurka i szafek książeczki P. K. O., o której żartobliwie na parę tygodni przed śmiercią wspomniał ojciec Stasi, mówiąc do młodych „jak po mojej śmierci sięgniecie do tej kontynuatorki mej opiekuńczej roli, to nie wycieńczcie jej odrazu zanadto i pamiętajcie, gdy będziecie z **mojej** czerpać — zaprowadźcie sobie jednocześnie **swoją** własną, aby w niej ciułać. Dobrze jest wiedzieć, że się ma taką rezerwę".

— Po pana śmierci — zaprotestował wesoło Stefan, to nie będzie przecież tak prędko, to my już swoją własną dobrze zaopatrzymy, a do tej książeczki dziadunia, to może sięgną pańskie najstarsze wnuki. I obaj mężczyźni śmieli się beztrosko, a panna Stasia zapłoniła się, ale nie protestowała, tylko ojca ucałowała, prosząc, by nie mówił o śmierci.

Minęło zaledwie parę tygodni, a jak to już dawno wydaje się to pannie Stasi.

Rozpamiętuje ten moment, siedząc na samotnej ławce w Łazienkach, wypatrując, kiedy nareszcie i czy przyjdzie Stefan.

Bo książeczka P. K. O. zapowiedziana przez ojca nie znalazła się.

Wzrok panny Stasi ożywił się nagle. Na końcu alei ukazała się droga sylwetka. Szedł ku niej Stefan. Przywitanie krótkie, lakoniczne, a później odrazu bezwzględna szybka rozmowa. „Jak to dobrze żeś przyszedł. Nie zawiodłam się. Wybacz, żem tak nalegała, ale ja muszę wiedzieć, czy mogę, czy wolno mi na ciebie choć trochę liczyć. Taka jestem sama".

— Wybacz, żem Ci tak długo kazał czekać. Wybacz, żem się tak rzadko u Ciebie ostatnio ukazywał — ale walczyłem, walczyłem z przeciwnościami. Przed ich usunięciem wolałem się z tobą nie widzieć —

„Co się stało".

— Zredukowano mnie —

„Jezus Marja".

Tak — ale już w części poprawiłem to, dostałem inną pracę. Niestety, jest to na dalekiej prowincji i z tak skromną pensyjką, iż ślub nasz musimy odłożyć na rok, na dwa może. Nie płacz kochana, przecież się kochamy, trudno, trzeba poczekać.

Trudno — powiedziała panna Stasia — ale nie płakać, nie mogę. Ty wyjedziesz, zostanę tu sama przecież.

A później padły już tylko smutne słowa pożegnania i panna Stasia została sama, na ławeczce w ustronnej alei. Czy czuła się nieszczęśliwa? nie wie. Czy płakała bardzo? nie wie. Ale kiedy nareszcie znalazła się w swem pustem niemal mieszkaniu i zdecydowała się zapalić światło — to oczy miała zaczerwienione, a nosek spuchnięty i czerwony. Mieszkanie panny Stasi przedstawiało się smutnie. Łóżko, stolik, a obok ostatni skazańcy: bibljoteczka, kanapa, dwa fotele i stara mahoniowa sekretera — ostatni delegaci na jutrzejszą, bezapelacyjną licytację.

Ta sekretera, to był ich wszystkich ulubiony mebel. Ostatni mohikanin lepszej, górnej, podobno, przeszłości. Panna Stasia tego nie pamięta, ale ojciec jej czasem, o zmierzchu opowiadał o dworze dziadka, gdzie były własne konie, psy, kwaśne mleko i konwalje. Gdzie w rogu w saloni. stała właśnie ta sekretera, w której przed okiem żandarmów chowano pradziadka oficerskie nominacje z 1831 roku.

Bez słońca i bez kwiatów, bez radosnej wiosny widzi panna Stasia swą przyszłość. Na stoliku obok sekretery stoi duża fotografja ojca. Bierze w ręce panna Stasia zimny karton i znów czuje, że oczy jej napełniają się łzami Niema go. Odruchowo panna Stasia podchodzi do sekretery. Głaszcze pieszczotliwie stary mebel. Ojciec przy nim siadywał, pisał, rozmawiał. Panna Stasia machinalnie wyciąga puste szuflandki. Spogląda w lusterko ukryte w głębi. Jakoś się przekrzywiło, widocznie przy ostatniem przesuwaniu sekretary. Widzi panna Stasia w tem lusterku swój czerwony nosek. Nosek na bakier w tym skrzywionym lusterku! Więc pomimo zmartwienia uśmiecha się i poprawia lusterko. Coś się widać zacięło, więc mocuje się z niem sklopotana panienka i z całej siły opiera się o lewy róg. Nagle rozlega się trzask, i coś silnie, a boleśnie uderza pannę Stasię w rękę. Krzyknęła ze strachu i bólu i... oniemiała ze zdziwienia. Z pod lusterka wyskoczyła ze skrytki mała szufladka. To ona uderzyła tak boleśnie pannę Stasię w rękę. Panna Stasia trzyma obolałą dłoń i patrzy do małej szkatułki, w której leży jakaś koperta. Niespodziewana myśl budzi się nagle, chwyta nerwowo kopertę i... łzy, łzy radości sypią się jak grad z oczu.

Boże, Boże! szepce panna Stasia, — książeczka, Tatusia książeczka, książeczka P. K. O.! Zagląda do jej wnętrza i oczom nie wierzy. Siedem tysięcy trzysta czterdzieści dziewięć złotych — ojciec dla niej zebrał!

Panna Stasia się modli. Klęczy na środku pustego pokoju modli się i rozmawia z ojcem. Nie będzie licytacji.

Nie musi odkładać ślubu ze Stefanem, będzie miała dom, nie będą się musieli rozstawać na dwa lata.

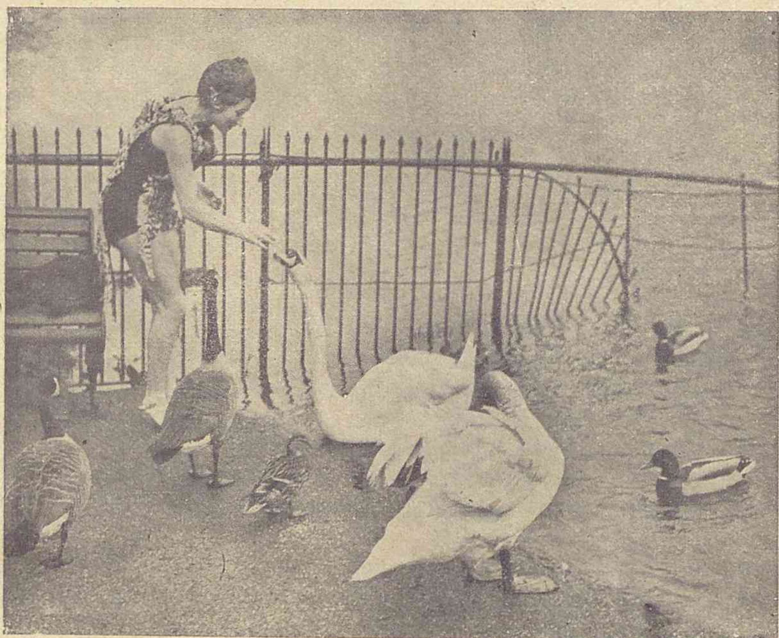
Przezorność ojca, co w najcięższych chwilach w P. K. O. zabezpieczenia dla jedynaczki szukał, ocaliła ją w ostatniej w najtrudniejszej godzinie życia.

St. Mossakiewicz

CZŁOWIEK I ZWIERZĘ



Do filmów egzotycznych potrzebne są zwierzęta nietylko dzikie, ale i mądre. Tygrys „Satan" z menażerji Johna Hewlett w Hollywood grał odpowiedzialną rolę w filmie o Tarzanie.



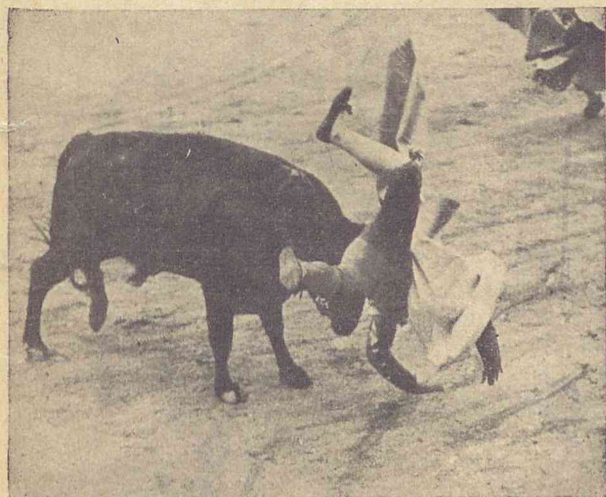
Nic tak nie smakuje, jak wiosenna kąpiel w jeziorze, połączona z karmieniem dostojnych, dekoracyjnych łabędzi.



Tresura lwów w cyrku Bertrama w Anglji powierzona jest młodej miss Pat Bourne, która z wdziękiem wywiązuje się ze swego zadania.



Nietylko święty Franciszek przemawiał do ptaków. Ten oto nowoczesny anglik jest z nimi również w niezwykle przyjaznej komitywie.



Mniej szczęśliwa była młoda torreadorka, Senorita Enriqueta Palmeno, podczas walki byków w Madrycie. Byk, kompletnie pozbawiony kurtuazji, wziął Senoritę na rogi i srodze ją poturbował.

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta", której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Jednakże około dwunastej twarz mistrza Chłopskiego rozjaśnia się wielkiem zadowoleniem. Siedząca przy kasie (na zmianę z innymi artystami i artystkami) Tarasowiczówna w przybliżeniu określa dochód z balu na kilkanaście tysięcy, nie licząc dochodu z bufetu i ze sprzedaży autografów, karykatur i lalek artystycznie wykonanych.

Ta niespodziewana cyfra osiągnięta z balu słuchaczy Szkoły im. Matejki ocali nietylko Janka i tego starego rzeźbiarza, ale jeszcze opłaci pięćdziesiąt kilka nieopłaconych wpisów szkolnych i pomoże falangom malarzy, uginających się pod brzemieniem codziennej rzeczywistości! (przecież trzeba im kupić taki materjał malarski, któryby w krótkim czasie nie zmieniał dzieł w brudne, poczerniałe szmaty).

Mistrz Chłopski „ugaduje se" o tem z Martą i gębę ma roześmianą z tej radości od ucha do ucha!

Wchodzący na schody spóźniony gość balowy będzie mógł wysłuchać już tylko końcowych akordów jego huczącego, basowego śmiechu... Tym spóźnionym gościem jest Lipowski, którego nie chciano wypuścić z Rautu w Ambasadzie francuskiej i na którego komitet balowy (na pierwszem piętrze) oczekuje już od dwóch godzin!

Litości! Sława narodowa ma dosyć tych owacji, tego skrępowania, tych atencji, tych ukłonów! Więc nieoficjalnie usiądzie tuż przy kasie balowej, na tem krzesełku niklowem, obciągniętem szafirowem płótnem i porozmawia. (Porozmawia, pomimo, że ta „panna" kłania mu się dosyć oficjalnie i najwidoczniej ma o coś do niego pretensję.).

Zato ten Chłopski ze swoją radością, spowodowaną ocaleniem tego nieznalego gruźlika i tych tam innych początkujących smarkaczy, jest rozbrajający. Będzie można mu sprawić tem większą uciechę, wypisując mu czek na dziesięć tysięcy franków, jako opłatę za swój bilet „gratisowy".

Lipowski z jednego sobie tylko nie zdaje sprawy, że mistrz jest „se prosty człek" i dziękować nie umie na zimno. Nie spodzieje się więc, kiedy pochwycą go silne ramiona i kiedy o jego policzek klaśnie głośny pocałunek.

Teraz zkolei Marta zlęknie się nie na żarty, aby mistrza nie spotkało od Jurka coś przykrego — jakiś odsuwający, chłodny gest, jakiś ledwo dostrzegalny grymas niesmaku, jakieś lekceważące, lub pogardliwe słowo.

Więc wstaje i z pytającym niepokojem wpatrzy się w Lipowskiego. W tego sławnego pana, któremu podziękowano pierwszy raz w Warszawie bez oddania należnych mu hołdów i czołobitności.

Ale obawy jej są próżne — Jurek starego malarza ucałuje po staropolsku w ramię, mówiąc coś o tem, że nikt mu jeszcze w kraju nie trafił tak do duszy, jak on ze „swojem gołębiem sercem".

Panna Tarasowiczówna po tem powiedzeniu uśmiechnie się wdzięcznie, jakby jej kamień z serca spadł i usiądzie z powrotem na niklowem krzesełku. Widocznie ta dziewczyna obawiała się, że on temu poczciwemu z gnatami człowiekowi byłby zdolny krzywdę zrobić(?). Ładne musi mieć o nim wyobrażenie!!

Lipowski więc tłumaczy im obojgu, że pomimo dziesięcioletniego swego pobytu we Francji nie czuje się on francuskim citroyen'em. I że pomimo dziesięcioletniego pobytu zagranicą nie wszystko w nim wygasło na popiół.

Na pierwszem piętrze, we wszystkich frywolnie udekorowanych salach wykładowych tańczą tłumy. I na drugiem piętrze też. — Ta roztańczona „foule" przeraża Lipowskiego. On już ma tego wszystkiego dosyć! Wolałby więc zostać tu, na dole, razem z nimi chociaż chwilę jeszcze w ciszy bez zgiełku.

Czy może? Czy mu pozwolą?

Ależ naturalnie, niech zostanie, jeżeli mu tylko dobrze. A może jest głodny? Nie, głodny nie jest, tylko zmęczony i pić mu się szalenie chce.

Więc Chłopski sam pójdzie do bufetu, aby wziąść dla niego syfon wody sodowej i kilka pomarańczy i zaraz z tym ładunkiem wróci. Niech to „jegomościa" nie żenuje, że on po to idzie. Jak ma być przyjaźń, to ceregiele należy schować do kieszeni i basta!

Marta więc zostaje z Jurkiem sama. Jest jej głupio. Nie wie, co robić z rękami, ze sobą. Nie wie, o czem ma mówić. Najchętniej „schowałaby się pod ziemię", tak, jak to miały ochotę robić jej naiwne prababki sto lat temu. Tymczasem on patrzy na nią uporczywie, przypomina sobie ten i tamten szczegół z ich dawnych Kazimierskich wakacji. Jakiś wieczorek tańcujący (ta smarkata świetnie tańczyła walca). Jakiś nocny spacer przy księżycu. Jakiś pocałunek w kwitnącym sadzie. Jakieś wiersze, które do niej pisał. Te wiersze miały naiwną formę i były pisane pod wpływem Tetmajera. Wszystko to razem, co tu obwijać w bawełnę, miało urok młodych marzeń i potęgę młodej krwi.

Uporczywie patrzy na nią, nie spuszczając z niej oczu. Powinien coś mówić, ale nie mówi nic. Tak jest lepiej. — Oczywiście ta dziewczyna też wszystko pamięta. Napewno nawet lepiej od niego (kobiety mają mniej przygód miłosnych w życiu i większą do tych przygód przywiązują wagę).

Ta dziewczyna jest niezwykle ładna i bardzo w jego typie! Ma cerę, na policzkach puszystą, a na skroniach i ramionach niezwykle cienką i pokreśloną niebieską nicią żyłek. Musi mieć temperament. Oczy ma podcienione, usta i piersi wy-

pukłe i nozdrza zmysłowe. Działa na niego pomimo zblazowania. Działa tak silnie, jak od bardzo dawno już nie działała żadna kobieta. (Nawet ta Cossini z Opery, której numer telefonu do dziś dnia pamięta, Lourse 28-38). Poza tem umie ta mała się ubrać. Suknia jej jest bardzo efektowna, tylko irytująco mało wycięta.

Marta liczy kasę. Myli się i liczy odnowa. (Papiery oddzielnie, bilon oddzielnie, i drobne jeszcze oddzielnie). Gdyby nie to zajęcie, które w pierwszej chwili zmieszania rozpoczęła, wstałaby oddawna i odeszła. Jakże można tak długo milczeć? I tak długo patrzeć na nią? (10 tysięcy 570 złotych w papierach). Co on sobie myśli ten zepsuty przez baby mężczyzna? Czy ja pamięta z dawnych czasów, czy mu się ona podoba? (4 tysiące 107 złotych w bilonie). Bądź logiczną, Marto, nie obrażaj się za jego milczenie, bo przecież nie wypada mu przerywać twoich obliczeń. (28 złotych 75 groszy drobnemi i czek na 10 tysięcy franków). Koniec. Dlaczego też Chłopski nie wraca?

— „Czy pani zawsze nosi tak mało wydekoltowane suknie?"

— „Zawsze."

— „To jest demodé".

— „Może być, ale nie lubię w tańcu mieć spoconej męskiej ręki na dekolcie."

— „O la.... la... la..." śmiech.

Po chwili jeszcze.

— „Toaleta prześliczna."

— „Kreacja własnego pomysłu." — Marta oddycha z ulgą, bo wraca Chłopski z syfonem wody, trzema szklankami i butelką Sauterne'a. Jest bardzo zdenerwowana i ledwo panuje nad sobą. Lekceważenia nie znosi i umie to lekceważenie ukrócić (Szenker). Ale z Jurkiem? Z Jurkiem jest niezręczna, bezradna i głupia... Nie umie z nim postępować.

Oh Marto, zdaj kasę mistrzowi Chłopskiemu i pożegnaj panów miłem skinieniem głowy! Tak będzie lepiej.

*

Nad drzwiami prowadzącemi do bufetu widnieje wielki reprezentacyjny herb (widelec i nóż złożony na krzyż na wielkiej tarczy z kartonu). Ściany pokrywają wiersze reklamowe i dowcipy rysunkowe! Paskorzeźby z błyszczącej blachy i matowego srebrnego papieru (od czekolady) „robią" zaczarowaną grotę w dawnym gabinecie dyrektora, a woda z niebieskiego celofanu wypełnia baseny w dawnej kancelarji! Markiza w sukni z bibułkowych falbanek zstępuje po schodach, wysłanych chodnikiem z tapety.

O pierwszej godzinie przed oczami skupionej pod ścianami publiczności przelewa się olbrzymia rewja kostjumów, w której najbardziej znane w świecie malarskim postacie znajdują swoje odbicie w karykaturze. Objaśnień wierszowych udziela z estrady sławny Rawicz i śliczna Aneta Wińczówna. Pierwszy raz w życiu bawią się w conferancierkę i udaje się im to znakomicie. Manekiny wyobrażające profesorów szkoły imienia Matejki z dyrektorem Hańczą na czele są ustrojone w sportowe kostjumy, uwypuklające groteskowość ich budowy. Tylko jedna jedyna karykatura ukochanego profesora Chłopskiego wniesiona jest do salonów na rękach. Reszta figur pozostaje zgilotynowana lub obgadana tak, że suchej nitki na niej nie zostanie.

„Jury" konkursowe z przedstawicieli sztuki i literatury daje pierwszą nagrodę za karykaturę profesora Widrakiewicza (Te krucze włoski zaczesane na różową łysinę i ten monokl! Ten wykrzywiony uśmiech sfałdowujący tylko prawą stronę twarzy! To charakterystyczne przechylenie głowy! Ten wydęty gors frakowej koszuli, zdobnej w wielką wstęgę! Te mankiety uciekające z rękawów i te spodnie wiszące na patykach!)

Marta nie lubi dokuczliwości ludzkiej, mimo to dołącza swój siódmy głos do sześciu innych głosów „jury", naznaczającego pierwszą nagrodę wykonawcy tej właśnie karykatury. Zato profesor Chłopski łaje swoich chłopaków siarczyście za tę powódź złośliwości.

Błazny! Szczeniaki! Smarkacze!"

Tymczasem Dr. Link pozwala sobie zapytać p. Lipowskiego, siedzącego na honorowem miejscu w konkursowem jury, czy naogół bal mu się podoba?"

Owszem, nawet bardzo! Lipowski nie przypuszczał, żeby Polacy posiadali w sobie tyle szczerego humoru. Śmieje się serdecznie i bawi tak, jak dawno nie pamięta! Chciałby nawet zatańczyć, ale panna Tarasowiczówna wciąż otoczona. Ten gruby Szenker (który teraz z nią tańczy) podobno jest jednym z najbogatszych ludzi w kraju? I pomimo to nie doprowadził jej do ołtarza? A ten piękny Rosłankiewicz? (który przed chwilą ją tak mocno w tańcu przyciskał?) Casanova? Don Juan? I pomimo to nie doprowadził do romansu? „Nie udało się" Kossackiemu, który zginął, przywalony dekoracją i „nie uda" się zapewne ani profesorowi Widrakiewiczowi, ani doktorowi Linkowi, ani innym!

Oczywiście nie byłby prawdziwym mężczy-

zną, żeby te informacje go nie zainteresowały i nie podnieciły. A więc tak zwana „forteca nie do zdobycia" Przesada! Oczywiście przesada! Trudno w to uwierzyć, aby w obecnych czasach panna, wyjeżdżająca samodzielnie zagranicę i mieszkająca samotnie, była prawdziwą „panną". Oh, on zna kobiety i zna świat. Pomimo to, ta „pruderja", ta „udana" jej cnota zaciekawia go.

— „Czy zatańczy pani ze mną?

— „Z przyjemnością" (głos zupełnie naturalny).

— „Tańczy pani jeszcze lepiej, aniżeli... kiedyś" (powiedzenie znaczące i powinno odnieść skutek).

— „A pan.. tańczy.. inaczej, niż.. kiedyś".

— „Czy mogę wiedzieć, na czem polega różnica"?.

— „Pocóż mam to panu tłumaczyć, kiedy pan sam najlepiej wie, na czem ta różnica polega". (Ledwo uchwytna nuta żalu w głosie. Czyżby panienka była sentymentalna?)

— „We Francji tak się właśnie tańczy".

— „We Francji kobiety tańczące muszą mieć zmięte suknie i obolałe kości"...

— „O la.. la.. la".. (serdeczny śmiech).

Jedno bliskie spojrzenie prosto w oczy w tęczowem świetle lamp i krótka pauza muzyczna, podkreślona milczącym bezruchem...

— „Czy nie poszłaby pani ze mną jutro na małe déjeuner à midi?"

— „Pracuję do siódmej bez przerwy i jadam obiad u siebie w biurze".

— „Nie może pani dla mnie zrobić wyjątku w tym ostrym regime'ie?"

— „Nie chcę dla pana zrobić wyjątku w tym ostrym régime'ie".

— „Czemu?"

— „Chociażby dlatego, że jest pan irytująco zarozumiały".

— „Mam wrażenie, że chce pani mnie odmienić?"

— „Możliwe. Mówią, że posiadam zdolności pedagogiczne".

Marta od kilku minut odzyskuje utraconą pewność siebie. Widzi, że się podoba i to jej dodaje odwagi i wraca swobodę ruchów. Wprost przeciwnie sprawa ma się z Lipowskim, który zainteresowany tańcem i rozmową traci poczucie miejsca i czasu. Nie wypuszcza od kilkunastu minut Marty ze swych (rozluźnionych nieco) objęć i rozbija sąsiednie pary w nagłych obrotach, rytmicznem kołysaniu i posuwistem cofaniu się.

— „Więc jutro stanowczo pani nie chce zjeść ze mną małego śniadania, podanego na ogólnej sali restauracyjnej. Obiecuję, że stolik będzie stał na środku sali, w pełnym blasku słonecznym, z jedną tylko butelką wody mineralnej".

Cisza... Po chwilowym namyśle on dodaje:

— „Pozatem... na to śniadanie zaproszę jeszcze Hańczów i mistrza Chłopskiego. Czy i teraz mi pani odmówi?"

— „Nie. Teraz już panu nie odmówię".

„NASTROJE".

Marta na drugi dzień rano fatalnie się czuje. Widocznie musiało ją zawiać w szatni. Boli ją krzyż, łamią kości i drapie ją w gardle. To wszystko byłoby jeszcze głupstwo, gdyby nie to, że Marta ma... katar!

Kicha od samego rana. Jej przykrótki nos czerwienieje i obrzmiewa od tego ciągłego ocierania. Oczy łzawią. Kilka zupełnie mokrych chustek służąca bierze do brudów.

O śniadaniu mowy niema! Mama zawiadamia telefonicznie „Busiw", że córka jej ma grypę i dziś, a zapewne i jutro przyjść do pracy nie będzie mogła. Potem mama mierzy córce gorączkę, wyciera jej stopy terpentyną, daje jej „coś tam" na poty i „zapakowuje" ją do łóżka. Po tych wszystkich historjach dopiero będzie można prosić mamę, aby zechciała napisać kilka słów do pana Lipowskiego z przeproszeniem, że córka jej z powodu choroby na śniadaniu w restauracji być nie będzie mogła. Okropność! Mama jest oburzona! Co? Jak? Do restauracji sama z mężczyzną? Oto są czasy! Taki pan popsuje jej zupełnie opinję, a potem zabierze się i wyjedzie z kraju. I szukaj wiatru w polu! Ah... więc mieli być i Hańczowie? To co innego. Ale w każdym razie niech ona będzie z nim ostrożna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"

POŚWIĘCENIE BANDERY STATKU „BATORY"



Przedstawiciele Rządu i sfer oficjalnych na uroczystości poświęcenia bandery M/S Batory, nowego statku transatlantyckiego Linji Gdynia — Ameryka.

DZIAŁALNOŚĆ OGRÓDKÓW JORDANOWSKICH W STOLICY



Dn. 17 maja w Ogródku Jordanowskim na Bagateli odbyła się bardzo udana zabawa dla dzieci. Na zdjęciu, w krakowskim stroju, uczestniczka zabawy, wyróżniająca się wdziękiem i wesołością Dziunia, córeczka współpracowniczki „Świata", p. J. Wiśniewskiej.



Dar premjera węgierskiego Goemboesa dla statku „Batory".

CHÓR Z POZNANIA WE FRANCJI

W dniach 9—11 b. m. na terenie Wschodniej Francji występował Chór poznańskiego K. P. W. „Hasło" w składzie 56 osób, pod batutą Dr. Zygmunta Latoszewskiego, Dyrektora Opery Poznańskiej oraz z udziałem solisty profesora Urbanowicza, Reżysera Opery Poznańskiej.

Na zdjęciu widzimy moment składania wieńca pod pomnikiem Gen. Klebera w Strasburgu. (×) Konsul Generalny R. P. w Strasburgu Jerzy Lechowski, (+) Dyrektor Opery poznańskiej Dr. Zygmunt Latoszewski, (+) Konsul Tadeusz Wierusz-Kowalski.



ULICE YOKOHAMY

W numerze 20-tym naszego pisma umieściliśmy p. t. „Przed zawinięciem do Japonji" wyjątek z książki „Rejs dokoła świata" młodego marynisty, Fryderyka Kulleschitza, laureata nagrody im. Jerzego Szareckiego. Aby dać możność naszym czytelnikom ocenienia wartości tej ciekawej książki, drukujemy dziś drugi wyjątek, „Ulice Yokohamy", w którym prosty, jasny styl walczy o lepsze z interesującą treścią.

Pierwsze wrażenie z Japonji nie było tem olśniewającem przeżyciem, jakiego doznawali pisarze, którzy książkami swemi utkali dokoła wyspiarskiego państwa legendę każącą myśleć o tym kraju, jako o uroczym krajobrazie japońskiego malarza Hiroszige, a o jego mieszkańcach, jako o prostych, nadzwyczaj uprzejmych, rozmiłowanych w pięknie przyrody i sztuki ludziach. Może dlatego, że nie rozkwitły jeszcze na wzgórzach i w ogrodach kwiaty wiśni, że pola ryżowe leżały martwe w topieli grząskiej, mulistej wody, a nad ranem sina, zimna mgła kładła się na szmat lądu, dzielący nabrzeże portowe, gdzie stała fregata, od Yokohamy.

Z ulic miasta i z morza tchnęło jeszcze podmuchami odchodzącej zimy. Wspaniałość i krasa Nippon'u miały wytrysnąć zielenią pędów i barwami kwiatów dopiero za trzy tygodnie. Wtedy rozpocznie się japońska wiosna.

Na wybrzeżu ani jednej dżinrikszy — nowoczesna Japonja zmiotła je ze swoich reprezentacyjnych miast — nie było nawet dorożek — kurum, natomiast czekał rząd samochodów.

Pojechałem na pocztę, znajdującą się jeszcze w dzielnicy portowej. Pracownik, załatwiający listy polecone i lotnicze, nie mówił po angielsku. Musiałem prosić innego wyższego urzędnika.

W głąb miasta poszedłem pieszo.

Nie przypuszczałem, że istnieją tak rozległe olbrzymy, jak Yokohama, Tokjo i Osaka. Nad niskie, jedno lub dwupiętrowe domy wyrastają w centrum wyższe masywy wielkich department stores, teatrów, kin i gmachów publicznych. Domy nie są ściśnięte w wąskie, ciasne uliczki, ale z rozmachem rozrzucone na przestrzeni powiatów. Mówią, że trzęsienie ziemi w roku 1923 pozwoliło na gruzach starych miast Tokjo i Yokohamy zacząć budowę nowoczesnej stolicy z portem Yokohamą.

Podziemne wulkany, wstrząsające od czasu do czasu wyspą, zmusiły architektów do innych, niż amerykańskie, planów rozbudowy miasta: nie w górę, ale wszerz. W tym wypadku japończycy nie poszli śladem Ameryki, od której przejęli cywilizację Zachodu. Sama przyroda nie pozwala wznosić drapaczy chmur. Z katastrof żywiołowych płynie nakaz rozstawienia budowli w przyzwoitych odstępach. W tym też kierunku poszli ustawodawcy japońscy, zabraniając wznosić domy ponad pewną, ustaloną dla różnych kategoryj, wysokość.

Szedłem ulicami Yokohamy, szerokiemi bulwarami wśród placów jeszcze niezabudowanych, zakrojonych na jakieś paryskie Champs Elysées — i węższemi uliczkami wśród natłoku małych sklepików. Przekraczałem mosty, wspięte nad rzeczkami; stawałem przed wystawami. Ciągnęły mnie ruchliwe ulice, przyglądałem się przechodniom w kimonach i ubiorach europejskich. Mijały mnie kobiety z dziećmi, siedzącemi okrakiem na plecach i owiniętemi chustkami; młode dziewczyny, świeże i miłe, ale z twarzą pokrytą grubą warstwą pudru i ustami, zakreślonemi wyraziście czerwonym ołówkiem.

Zabłąkałem się w sieci bezimiennych ulic — w Japonji nazwane są tylko dzielnice — szyldy drewniane i płócienne ze znakami pisma japońskiego przesłoniły ich perspektywę.

Przed jednym z większych gmachów uderzył mnie las wielkich chorągwi, zwisających z drugiego piętra na chodnik. Zapytałem przechodnia, wyglądającego na adwokata. Dlaczego właśnie adwokata? Nosił okulary i miał wypchaną teczkę pod pachą, pozatem jego czarne kimono podobne było do togi adwokackiej. Takie robił zresztą wrażenie. Nadto drewniane chodaki — geta stukały na bruku jakąś oschłą, prawniczą monotonnością, że odrazu pomyślałem: adwokat — będzie rozumiał po angielsku.

— Przepraszam pana, co oznaczają te chorągwie?

— Miasto żegna rekrutów z ostatniego poboru.

— Dziękuję!

Człowiek w czarnem kimonie poszedł dalej. Jego krępa, przysadzista figura wyglądałaby cudacznie w europejskiem ubraniu, ale kimono nadaje jej swoisty wdzięk i harmonję.

Na każdem niemal skrzyżowaniu ulic, przed gmachami municypalnemi, prywatnemi bankami i domami, trzepotały te chorągwie, z barwnych ich kolorów biła wojenna fanfara. W dzielnicach proletarjackich także. Czy wzniosły je dłonie robotników, czy też wystawiły kasy rady miejskiej.

*

Armja japońska! Żołnierz dyscyplinowany maszerujący w lodowatej zimie mandżurskiej. Prowadzą go od boju do boju: wiara szinto — droga bogów, religijna cześć dla cesarza, kodeks samurajski odziedziczony po feudalnej kaszcie. Nawet zaciekli przeciwnicy Japonji zgodni są w poglądach na niezrównaną bojowość i gotowość do poświęceń żołnierza japońskiego.

Jedynie pisarz sowiecki Rubinstein w powieści „Szlakiem samurajów" rzuca cień na tę zwartość ideową armji japońskiej, w którą każą nam wierzyć nietylko Japończycy, ale i pisarze „kapitalistyczni" innych państw. Rubinstein odsłania tajne drogi przesączania się komunizmu do armji, demaskuje system szpiegowski w jej szeregach, rozbudowany do granic ustawicznej tortury moralnej. Jeśli jednak powszechne jest, że ojciec na wieść o śmierci własnego syna, poległego w walce za tenno (cesarza), urządza ucztę, sprasza gości, aby wzięli udział w radości i szczęściu, jakie spadły na jego dom — armja japońska, mając taki niewyczerpany rezerwuar sił moralnych w samem społeczeństwie, musi być czemś hartownem, stalowem, niezwyciężonem.

Labirynt ulic japońskiego, miljonowego miasta wciąga europej-

czyka w rozważania na temat różnic między Wschodem i Zachodem. Ciekawą rzeczą byłoby przeżyć proces myślowy i uczuciowy zawodowego japonologa, który poraz pierwszy stanął w Japonji. Zwykły śmiertelnik czuje, że Wschód zamyka się przed nim znakami ideografów na szyldach, plakatach, reklamach — odrębnością języka. Wielowieczna kultura i cywilizacja, wyrosła obok naszej cywilizacji wyszłej z pnia helleńskiego, przyciąga i odpycha swoją obcością.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Japonji, po zwiedzeniu Tokjo, Nikko, Osaka, Kyoto, Kobe i Nagasaki— a więc wszystkich jej największych miast — po poznaniu ludzi, o ile to było możliwe w ciągu kilkunastu dni postojów w trzech portach, czuliśmy poprostu fizyczny ucisk na mózg uczucia i wszystkie władze duchowe.

Więc istnieje kraj, który poza pokostem kultury zachodniej i mimo całkowitego, bez reszty, wchłonięcia, przystosowania i w niektórych dziedzinach, prześcignięcia europejskiej cywilizacji materjalno - technicznej — wytworzył coś tak odrębnego obyczajowo i psychicznie, że przypomina to utopje społeczne i powieści fantastyczne o mieszkańcach innych planet? Kraj będący równocześnie jednem z czołowych mocarstw świata, który jeszcze 80 lat temu, gdy amerykański kommodore Perry zawinął do Yokohamy, pogrążony był w „nocy azjatyckiej", trwającej przez 250 lat panowania dynastji dyktatorów wojskowych — szogunów Tokugawów.

Perry na czele eskadry uzbrojonych w działa żaglowców, zbyt silnej, aby straż portowa mogła odeprzeć jej lądowanie (wydane było bowiem prawo, zamykające państwo przed zachodniemi barbarzyńcami)—otworzył w r. 1854 Yokohamę dla handlu z zagranicą. Od tej chwili, wysiłkiem jednego tylko pokolenia cesarza Meidzi, Japonja wkroczyła w sam środek wieku pary i elektryczności w zwycięskich wojnach z Chinami i Rosją wykazała siłę i dojrzałość wojskową, po wojnie światowej zadziwiła zręcznością swoich dyplomatów, obecnie zaś dokonuje już podboju świata od strony najmniej oczekiwanej — zalewem taniej, zorganizowanej produkcji.

Ze szpalt prasy angielskiej na Wschodzie, z kart książek anglosaskich pisarzy wychyla się blady strach przed potęgą, rosnącą w jakiemś niebywałem, nieznanem dotychczas tempie.

Wraz z ciągłym postępem przemysłu — Manchester(!) sprowadził raz z Japonji maszyny tkackie, aby sprostać konkurencji — wraz z udoskonaleniem organizacji handlowej, umacnianiem się na mandatowych wysepkach pod równikiem — na linji między Pearl Harbour w Hawajach a Manilą i Singaporem — wraz z wypowiedzeniem traktatu waszyngtońskiego, ograniczającego zbrojenia Japonji w stosunku do dwóch innych potęg morskich: Wielkiej Brytanji i Stanów Zjedn. Ameryki w proporcji 7:10:10, wraz z odpływem kolosalnych sum na inwestycje w Mandżurji — problem Pacyfiku urasta do olbrzymich, budzących dreszcz niepokoju, rozmiarów. Dochodzi do tego wielki przyrost 90-miljonowej ludności, niemogącej się wyżywić na własnych, ciasnych wyspach, gotowość do poświęceń na rzecz państwa — jeden z poznanych poważnych inżynierów w Osaka oświadczył mi, że jego rodacy chętnie będą jedli jedną miskę ryżu na dzień, aby wybudować największą na świecie flotę wojenną — i przedewszystkiem psychika narodu, tak dziwna i niezrozumiała, że usprawiedliwia porównanie Japonji do krajów z powieści utopijnej.

Oto historjozofja amerykańskiego publicysty:

Gdy przyszłość świata tworzyła się na Atlantyku, hiszpanie, opanowawszy morza, nie podejrzewali, że z mgieł nad wyspami Anglji wyłoni się niebezpieczeństwo dla ich hegemonji na świecie. Dumna Hiszpanja, pobita przez nieoczekiwanego i niedocenianego wroga, spadła do poziomu czwartorzędnego państwa, podczas gdy imperjum brytyjskie objęło cały świat, tak, że słońce w niem nigdy nie zachodzi. Wniosków autor nie wyciąga, ale są one biorąc pod uwagę jego narodowość, niezwykle wyraziste.

Zdaje się, że „żółte niebezpieczeństwo" wymyślił Wilhelm II. Jeśli to prawda, byłby to jasny przebłysk rozumu politycznego kaisera: lucidum intervalle. Obecnie świat kapitalistyczny zagrożony jest gospodarczą ekspansją japońską, więcej niż komunizmem. Japoński handel zagraniczny podważa najskuteczniej system kapitalistyczny Europy—Ameryki.

*

Długoletni rezydenci w Japonji, znający ten kraj nawylot, którzy zgłębili go studjami i latami ciągłego, bezpośredniego kontaku z jego życiem, opowiadają, że dynamika narodu japońskiego, sekret jego możliwości tkwi w tem co jest ściśle japońskiem, nieskopjowaniem ani z Chin, ani z Europy — Ameryki.

Starszy pan, powyżej pięćdziesiątki, profesor i publicysta, opowiedział mi jeszcze przed mojem przybyciem do Japonji, w swoim bungalowie w Honolulu, mit, stanowiący klucz do mroków superpatrjotycznej duszy japońskiej.

Około trzech tysięcy lat temu na wyspach, zamieszkanych w tym czasie głównie przez kosmatych ajnów — kiedy japończycy-pigmeje wypierali orężem tych olbrzymów na północ — pojawiła się bogini słońca Amaterasu — O-Mi-Kami. Dla wybranego ludu Yamato ustanowiła cesarzem swego własnego ludzkiego wnuka Dzimmu Tenno. Stąd boskie pochodzenie cesarzy, których nie przerwana linja przetrwała do dni dzisiejszych. Ponieważ boskość cesarza spływa na jego naród, japończycy nazywają się „synami bogów". Najbardziej postępowy profesor uniwersytetu wierzy dosłownie w boskie po-

chodzenie cesarzy. Tego, jak człowiek światły łączy racjonalistyczną naukę z wiarą dni, jako prawdziwe zdarzenie, nikt z europejczyków nie zrozumie. Stanowi to właśnie odrębność mentalności japońskiej, tajemnicę spoistości narodu i być może jego wielkości.

Lafcadio Hearn, autor tylu książek o Japonji, sam zjaponizowany, ożeniony z Japonką i obywatel cesarstwa, powtórzył w ostatniej swojej pracy „Japan, an interpretation" słowa usłyszane od jednego z przyjaciół japońskich parę godzin przed jego śmiercią: „Jeśli za lat pięć lub osiem przekonasz się, że nic nie rozumiesz z duszy japońskiej, wtedy dopiero zaczniesz cośnieoś wiedzieć o niej". Napisał to autor, który z entuzjazmem odkrywał dla świata nieznany archipelag.

Japończycy nie wierzą, ale wiedzą, że są synami bogów. Wiedzą z całą pewnością. Dlatego cudzoziemcy wszystkich ras, tak białej jak żółtej, są barbarzyńcami.

— A więc naród wybrany, drugi naród Izraela?

— Naród żołnierzy, obrotnych kupców, doskonałych kolonizatorów, naród pracy i miłujący piękno przyrody i sztuki. Prosty chłop japoński umie głęboko zadumać się nad pięknem róży, wieczorem podziwiać księżyc, płynący wśród chmur.

Japonja, rozwinąwszy swój przemysł, jest teraz największym eksporterem tekstylnym: wytwarza 2 biljony jardów materjałów bawełnianych na ogólną liczbę 5 i pół biljona produkcji światowej. Jeszcze 30 — 40 lat temu Japonja z trudem wyzbywała się różnych ograniczeń jej suwerenności: narzucanych traktatów, wymuszonych ustępstw celnych. Dziś Japonja jest mocarstwem. Zresztą zawsze była wielką potęgą militarną. Ieyasu, założyciel linji Tokugawów, panującej aż do restauracji, posiadał 300-tysięczną armję. Na Zachodzie żadne państwo nie rozporządzało w tym czasie taką siłą. Japonja zawsze była mocarstwem: i w odparciu najazdów Kublaj-chana i w wyprawie wielkiego Hidejos'i na Koreę.

Dziś Japonja ma wytknięty cel na Dalekim i Bliskim Wschodzie. Uważa, że gdy osiągnie ten cel, nic już nie stanie na przeszkodzie — boskiemu posłannictwu kierowania losami całego świata.

Motorem, który ożywia i rozpala fanatyzmem średniowiecznych krzyżowców 30 miljonów japończyków, jest szinto — droga bogów, wiara państwowa. Szinto jest bowiem czemś więcej niż religją: nie wolno jej nazywać w Japonji religją — jest wiarą w państwo, w misję narodu....

Odtworzyłem skrótami myśli starszego pana. Są to rzeczy częścią znane, częścią, zaś rewelacyjne swoją śmiałością. Mój rozmówca spędził 15 lat w Japonji. Wielcy wydawcy z Nowego Jorku zwracają się do niego z odpowiedniemi propozycjami.

*

Z tym bagażem wiadomości i pojęć szedłem ulicami Yokohamy. Dwanaście lat temu stanęły w tem mieście 2 minuty przed dwunastą wszystkie zegary, gdy straszliwy wstrząs zmiótł je z powierzchni ziemi. W muzeum w Yokohamie widać jeden taki ścienny zegar.

Przecinałem dzielnice w budowie. Rusztowania były z tyk bambusowych, powiązanych bambusowem łykiem. Widziałem gotowy już dach, czekający na ukończenie zrębu drewnianego domu, aby go podniesiono z ziemi na właściwe miejsce.

Szyldy pionowe, zapełnione ideografami. Dużo kwiatów, opierających się przymrozkom.

Przypadkiem znalazłem się w okolicy, oświetlonej jaskrawo światłami elektrycznemi. Żadnego ze znanych mi wielkich miast, niesposób porównać z tym potopem światła, tryskającego z reklam, wystaw sklepowych i licznych lampionów. Reklamy przepiękne, kunsztowne pismo daje tysiąc możliwości układu, litery zaś wynikające z mroku neonowem światłem, są same w sobie arcydziełem rysunku.

Gdy szedłem w górę ulicy obok sklepów, restauracyj, barów i kin, w tłumie, przelewającym się z trotuaru na jezdnię — złowiłem oko piękności w kimonie. Takie wesołe zabłysło światełko między rzęsami, jak u amerykanki Helen w Honolulu.

W tłumie ulicznym spotkałem zaledwie kilkunastu białych — zapewne marynarzy, chodzących na lądzie prawie zawsze bez uniformu i stałych mieszkańców Yokohamy. W całem cesarstwie japońskiem żyje zaledwie 6 tys. białych na 90 miljonów ludności! Japonja broni się od białej zarazy. Czem byłaby inaczej? Chinami? Indjami?

PAŃSTWOWA SZKOŁA MORSKA

podaje do wiadomości, że podania o przyjęcie do Szkoły na Wydział nawigacyjny i mechaniczny należy składać najpóźniej do dnia 15 lipca r. b. pod adresem: Dyrekcja Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, ul. Morska 83.

Od wstępujących do szkoły wymaga się:

a) wieku 17 — 19 lat, licząc do dnia 1 sierpnia 1936 r.,

b) ukończenia szkoły typu gimnazjum (6 klas szkoły średniej państwowej, lub prywatnej z prawami),

c) poddania się badaniu lekarskiemu przez Komisję Lekarską przy Szkole (20 lipca o godz. 9-ej rano), lub w Instytucie Psychotechnicznym (Warszawa, ul. Mokotowska 51 — 53) dla oceny stanu zdrowia,

d) złożenia egzaminów wstępnych z języka polskiego, arytmetyki, algebry, geometrji, fizyki i chemji z zakresu programu gimnazjum państwowego typu matematyczno-przyrodniczego.

Nauka w Szkole jest bezpłatna. Za utrzymanie w Internacie na rok szkolny 1936/37 ustalona została opłata w wysokości zł. 1.000 rocznie.

Bliższe i dokładniejsze informacje, dotyczące egzaminu wstępnego, wnoszenia podań, umundurowania i przebiegu wyszkolenia udziela pisemnie Państwowa Szkoła Morska. Korespondencję należy adresować: Państwowa Szkoła Morska, Gdynia, ul. Morska 83.

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK

DROBIAZGI WYTWORNE

W związku z odsłonięciem pomnika Kilińskiego rozmawiałem kiedyś o bohaterskim pułkowniku — z pewnym wojskowym. Poruszyliśmy zagadnienie strategji wojskowej w owych czasach i obecnie. W pewnym momencie mój rozmówca, pragnąc podkreślić postęp nowoczesnych sposobów prowadzenia wojny i uwypuklić własne zdolności taktyczne, powiedział: Kiliński, proszę pana, to przy mnie szewc!

■

O ciągłości angielskiej polityki zagranicznej: Semper Eden.

■

Do pewnego garnizonu przyjechał na inspekcję generał. Badając pokolei wszystkie objekty, zaszedł do kuchni, gdzie uderzyła go jakaś niemiła woń. — Cóż tu tak śmierdzi? — powiedział groźnie marszcząc brew i pociągając nozdrzami. — To... to... kapusta... przygotowana na dzisiejszy obiad, odparł, jąkając się naczelny kucharz. — A, to kapusta tak pachnie, powiedział generał i zadowolony opuścił kuchnię.

■

Przysłowie łacińskie: Poete non dolet — poeto, nie dolewaj.

■

Podobno w sferach miarodajnych rozpatrywany jest projekt stworzenia kapituły nowego orderu. Ma to być order — pour le émérite.

■

Wyjątek z powieści: Mrozy nie ustępowały. Byliśmy straszliwie zziębnięci, prawie skostniali, co uniemożliwiało niektórym utrzymanie karabinu w ręku. Widząc to, dowódca zebrał wszystkich wokół siebie i powiedział kilka ciepłych słówek, co uratowało nas od zmarznięcia.

■

Pewien znakomity pianista został aresztowany pod zarzutem kidnaperstwa. Jak się okazało, na jednym z poranków dla młodzieży szkolnej, grał z takiem przejęcie, że grą swoją porwał dwoje nieletnich słuchaczów.

■

Nowy przyrząd do operacyj kosmetycznych: sex - epilatoir.

■

P. T. antysemitom uprzejmie komunikujemy, że jedna ze współczesnych plag, trapiąca znękanych kupców, mianowicie — plajta, stanowi wynalazek żydowski. Według Michała Arcta wyraz „plajta“ jest pochodzenia hebrajskiego i już na parę tysięcy lat przed naszą erą oznaczał złośliwe bankructwo.



Zofja Lindorfówna zbierała zasłużone oklaski w sztuce „Nieusprawiedliwiona Godzina“ na scenie Teatru Letniego

WEEK - END-y ORBISU

Po tygodniu wytężonej pracy w mieście każdy z rozkoszą odetchnie świeżem powietrzem, zmieni atmosferę i zabawi się w miłem towarzystwie.

Doskonałą okazją świątecznego wypoczynku dla Warszawian są week-end'y Orbisu. Na Zielone Świątki warto pojechać do pałacu w Rozalinie lub Teresinie. Niską ceną uczestnictwa objęte są przejazdy kolejowe wzgl. autobusowe, wykwintne utrzymanie i mieszkanie w pałacu (pokoje dwu-osobowe).

Ci wszyscy, którzy nie mogą choćby na krótko opuścić Warszawy, obejrzą stolicę „z lotu ptaka“, biorąc udział w propagandowych lotach nad Warszawą w dniach 30, 31 maja i 1 czerwca b.r. — Cena lotu zł. 7.

„ŚWIĘTO ZA MIASTEM“

Wycieczki z Warszawy w okresie Zielonych Świąt

29 maja Zielone Świątki w Wilnie zł. 14.70.

30 maja Zielone Świątki w Augustowie zł. 45.00.

30 maja Zielone Świątki w Teresinie zł. 27.00.

30 maja Zielone Świątki w Płocku zł. 32.00.

30 maja Zielone Świątki w Kazimierzu n/Wisłą zł. 32.00.

30 maja Zielone Świątki w Rozalinie zł. 24.00.

30 maja Zielone Świątki w Katowicach zł. 23.50.

30 maja Zielone Świątki w Gdyni zł. 18.70.

30 maja Zielone Świątki w Białowieży zł. 30.00.

30 maja Zielone Świątki w Nałęczowie zł. 23.00.

30 maja Zielone Świątki w Zaleszczykach (14 dni) zł. 114.00.

30 maja Loty okrężne nad Warszawą zł. 7.00.

31 maja Loty okrężne nad Warszawą zł. 7.00.

1 czerwca Loty okrężne nad Warszawą zł. 7.00.

ZIELONE ŚWIĄTKI W ZALESZCZYKACH

Wiosna na południu Polski, a zwłaszcza w Zaleszczykach, posiada specjalny urok. 30 maja b.r. wyruszy do Zaleszczyk wycieczka Orbisu. 14-dniowy pobyt w cenie zł. 114.—

ARTUR STANGHELLINI

SCENA RODZINNA

„Czy już poszli?".

Mówiąc to, Anna objęła ramieniem szerokie bary Marka, i oboje wychylili się z okna, aby wyjrzeć na ulicę. Na czarnem tle rysują się w świetle lampy dwie siwe głowy i szczupła ręka, oparta tkliwym i znużonym ruchem na potężnych plecach mężczyzny. Nie widać twarzy, lecz ruch ten jest tak wymowny, że możnaby przejrzeć obie dusze do dna: jedna się garnie, druga prowadzi.

— Jeszcze stoją na rogu pod latarnią.

— Wszyscy?

— Tak, wszyscy. Również i sekretarz federalny. Widzisz go? Stoi przy burmistrzu. Obok sierżant karabinierów pod rękę z tym sekretarzem gminy... Jakże on się nazywa? Brandi czy Prandi? Jest tam jeszcze Tonino Larder, prałat Cinalli, aptekarz, przełożona szkoły... Widzisz? Wychyl się.

— Nie warto, kochanie, ty patrzysz i za mnie. Co mówią?

— Niebardzo dobrze słychać. Powtarzają się słowa: Ocean... uroczystości... nasz sławny rodak.. Ale najczęściej: Ocean.

— Bo to słowo jest najdźwięczniejsze, najszersze — dodaje Anna bezbarwnym głosem. I nagle przed wpatrzonemi wdal oczami ukazuje się wizja bezmiernego morza, gdzie hulają wszystkie wichry spadające z nieba i gdzie ścierają się wszystkie moce, powstające z przepaści. Wargi powtarzają jeszcze to wielkie słowo, lecz cichutko, prawie bez oddechu. Ocean! Ileż to razy pokazywała swym dzieciom ze szkoły powszechnej, suwając po mapie bambusowym kijkiem — stąd dotąd —, tę szeroką lazurową plamę, po której pływało pięć liter: o-c-e-a-n. (Mapa podklejona płótnem, między dwoma czarnemi kijkami, nie była równo naciągnięta: pozwalało to lepiej wyobrazić sobie fale). Albo też wodziła palcem po globusie, wskazując, że trzy czwarte kuli ziemskiej zajmują wody, a tylko jedną czwartą lądy. Nie miało to coprawda większego znaczenia ani dla niej, ani dla chłopców tego miasteczka, tak oddalonego od morza. Potem wycierała zakurzony palec i odstawiała globus do oszklonej szafy pomiędzy tekturowe romby, ostrosłupy, walce i równoległoboki, całkiem poprostu, jakgdyby odstawiała do kredensu słój z konfiturami.

Lecz w tej chwili mały globus rozrósł się w nieskończoność; wydało się Annie, że niebieska plama spływa z mapy i zalewa tę właśnie część globu ziemskiego, którą jej syn przemierzył w zwycięskim locie wraz z hufcem bohaterów.

Anna nie widzi dobrze innych uczestników tej zuchwałej imprezy, widzi tylko jego; jego, który jest najpiękniejszy, najwaleczniejszy, najukochańszy. Również i jego samolot, ten wspaniały i potężny aparat, dla niej zmienia się w dwa białe skrzydełka, które wyrastają z ramion Nina, jak u anioła. Śledzi wzrokiem niewidzialną dla innych nić, która biegnie przez Ocean, a którą ona, matka, trzyma za jeden koniec, aby syn nie zbłądził w powrotnej drodze.

Wyruszył z tego domu pewnego wieczora, mówiąc szorstko, że wkrótce powróci, i że niema o co płakać, że to tylko skok trochę dłuższy niż zwykle; że towarzysze są dzielni i weseli, a motory pewne. A ona, uścisnąwszy go niemal gwałtownie, wychyliła się z okna, machając za nim ręką na pożegnanie; druga ręka, trzymająca chusteczkę, wędrowała nieustannie od ust do oczu, odsłaniając to grymas płaczu, to uśmiech. Gdy potem Nino zniknął na zakręcie ulicy, żegnająca go ręka zrobiła jeszcze dwa czy trzy znużone ruchy w próżni i opadła jak martwy przedmiot. Rozwinęła się już cała nić ze szpulki w sercu. Teraz Anna czuje, że trzyma w dłoni sam koniec nitki; albo się nawinie zpowrotem, albo pęknie.

— Pomyślno — powiedział Marek, cofając się od okna i kładąc rękę na nieco zbolałym krzyżu — ilu jutro będziemy mieli gości! Na wszelki wypadek powiedziałem już, aby się mnie nie spodziewali w biurze. Możebyś i ty zwolniła się ze szkoły? Rozumiesz przecie: telegramy, odwiedziny krewnych; trzeba się dobrze przygotować, bo z tego, co podchwyciłem z rozmowy pomiędzy sekretarzem a sierżantem, wnioskuję, że również i sam prefekt....

— Bardzo dobrze, ale przełożona, która tu była i wie przecież o wszystkiem, nic mi nie powiedziała. Nie przyszła jedna z nauczycielek, i zbliżają się egzaminy...

Marek począł chodzić po pokoju tam i spowrotem, sapiąc.

— Może mi powiesz, czem właściwie jest ta pani przełożona, która, nawiasem mówiąc, niezupełnie zdaje sobie sprawę z czynu Nina, czem w porównaniu z tobą, matką bohatera? „Oczywiście był to piękny lot" — raczyła łaskawie przyznać, jakgdyby mówiła o wróblu. A gdy jej przypomniałem, że nasz Nino, jako dziecko, uczęszczał do tej szkoły, aby dać jej do zrozumienia, jak powinna być dumna, że stąd wzbił się do swego lotu... wtedy, może się mylę, ale zdaje mi się, że się uśmiechnęła...

— Bardzo cię przepraszam, ale nie możesz wymagać, aby biedna pani Amelja myślała o tych sprawach taksamo, jak my. Nino jest wybitnym lotnikiem, lecz dla niej pozostał zawsze niezbyt wybitnym uczniem. Jej myśli nie wybiegają poza szkołę i można jej z tego powodu tylko współczuć. A właśnie, o ile zechcesz sobie przypomnieć, szkolne postępy i sprawowanie naszego synka nie były znowu tak bardzo...

Marek przerwał swój spacer i wybuchnął śmiechem.

— Czy zechcę sobie przypomnieć! I ty mówisz, jak nauczycielka! Twoim ideałem był Righino Baricelli, ów blondynek, co służył do mszy, a teraz jest ni mniej ni więcej, tylko samym panem rejentem w San Cristoforo. Jaką wspaniałą karjerę zrobił przez to, że zbierał same czwórki i piątki, że nigdy nie kradł sąsiadom owoców z ogrodu! Czem jest lotnik Nino Rietti w po-

równaniu z rejentem Olderigo Baricelli? Nie wiem, czy nasz Nino byłby zadowolony, gdyby cię w tej chwili słyszał.

Sarkazm Marka wbija się w żywe ciało jak sztylet. Anna czuje się przytłoczona nawet w swej małości fizycznej, bo Marek, gdy wpada we wściekłość, robi się purpurowy na twarzy, pęcznieje od szyi aż do torsu, staje się groźny, i wygląda, jakgdyby miał lada chwila pęknąć. W takich chwilach nie ośmieliłaby się go dotknąć, z obawy przed uderzeniem, które rzuciłoby ją na ziemię, jak kłębek łachmanów. Poprzestaje więc na nakreśleniu ręką w powietrzu pieszczotliwego ruchu, który niebardzo wiadomo, co właściwie oznacza: zaklęcie, czy błogosławieństwo. Czasami to wystarcza: po dwóch, czy trzech potężnych sapnięciach Marek się uspakaja.

— Niesprawiedliwy jesteś w tej chwili, Marku! Ja przecież powiedziałam tylko, że nasz Nino nie był wzorowym uczniem, i że nie można utrzymywać, aby do lotu wzbił się właśnie ze szkoły. Tylko tyle. Miłość rodzicielska nie powinna nas zaślepiać.

— Ach tak, więc to Righino Baricelli dokonał wielkiego lotu, stąd z Sumiana do San Cristoforo. A ja ci mówię, że na bohatera człowiek kształtuje się już w najmłodszych latach! Pozwólmy chłopcom robić, co chcą, nawet jeśli nie będą się zanadto przykładać do nauki! Niechaj się przepychają łokciami pośród towarzyszy. Niechaj zadają ciosy i uczą się je przyjmować bez płaczu. Pozwólmy im łazić po murach, drzewach, rowach i dzwonnicach, słowem wszędzie, gdzie tylko zapragną, i nie popłakujmy co chwila: „O Jezu, złaź! O Jezu, uważaj! O Jezu, co to będzie? O Jezu, dopomóż!". Gdy Nino się przewracał, albo rozbijał sobie nos, czy kolano, mówiłem mu tylko: „Już ja się z tobą rozprawię!" Nie traciłem czasu na inwokacje do świętych! Gdy szedł z kolegami na cudze śliwki, wiśnie czy figi, nie prawiłem mu kazań. „Uważaj — przestrzegałem — jak cię złapią, dostaniesz za swoje!" Czy sądzisz, że gdyby się go pozbawiło tego instynktu drapieżcy, właściwego wszystkim chłopcom, stałby się tem, czem jest: człowiekiem, który się niczego nie boi i który się przed żadną przeszkodą nie cofnie?

— Tak, tak, tyś go zrobił tem, czem jest — przyznaje Anna z bolesnem upokorzeniem.

Lecz w tem ustępstwie Marek dopatruje się lekkiej nutki ironji. A pozatem jej ustępliwość irytuje go, jakgdyby ten jego zapał był naprawdę atakiem na przeszkodę, która nagle sama z siebie padła.

— Naturalnie! Postępowałaś jak wszystkie nauczycielki. Uczyłaś jego i innych chłopców historji bohaterów, poczynając od Mucjusza Scevoli, a kończąc na Cezarze Battistim, i biada jeśli kto nie umiał lekcji! „Powiem pani przełożonej, zawiadomię rodziców, przedstawię panu inspektorowi..." Jakgdyby w życiu było rzeczą ważniejszą uczyć się na pamięć historji bohaterów, niż samemu stać się bohaterem. Zaś jako matka drżałaś ze strachu, gdy Nino wdrapywał się na stołek.

— Masz rację, Marku. — Sądziłam, że pogodzę obowiązek nauczycielki z obowiązkiem matki, ucząc o wielkich czynach i drżąc na samą myśl o niebezpieczeństwie, a nawet przesadzając w tej obawie.

— A gdybym był posłuchał twojej rady wówczas, gdy szło o posłanie go do szkoły lotniczej w Caserta, z pewnością dziś nie znalazłby się pośród bohaterów, którzy przebyli Atlantyk... Gdy tak pomyślę o tem, o pozwoleniu, jakie mu dałem, o swobodzie, jaką mu zawsze pozostawiałem, to, nie pozując bynajmniej na ojca bohatera, mogę śmiało powiedzieć, że to ja uczyniłem mego syna dzielnym i silnym, i szczycę się tem przed nauczycielkami całego świata.

Pokój tak przepełnił się słowami, krokami, okrzykami i westchnieniami, że nieodrazu było widać, iż Anna, połykając gorzkie słowa, chce coś odpowiedzieć. Zaciekawiona służąca kilka już razy ukazała się w drzwiach kuchennych. Na wypadek, gdyby ją zauważono, miała przygotowaną doskonałą wymówkę: kolacja gotowa. Lecz państwo jej nie spostrzegli, więc cicho się wycofała, wysuwając przytem koniec języka, jakgdyby próbowała jakiegoś sosu.

Wreszcie z ust Anny wydostają się słowa jasne i wyraźne, chociaż nabrzmiałe troską:

— To znaczy, Marku, że jeśli w czasie powrotnego lotu... zginie, jeśli morze... go pochłonie, przynajmniej tym razem... nie będzie w tem mojej winy?

Z opuszczonemi wzdłuż ciała rękami stoi, podobna do męczennicy.

Na jedną chwilę zalega milczenie tak głębokie, że przez okno dostają się do pokoju odgłosy dalekich i obojętnych spraw: szelest wiatru w liściach platanów, szemranie fontanny i warkot samochodu, wspinającego się drogą na Malalbergo.

— Co ty mówisz? — Marek wygląda, jakgdyby ziemia mu się spod nóg osunęła. — Co ty mówisz? — powtarza z niepokojem, który miesza się z gniewem.

Anna stoi nieruchoma, pochyla tylko głowę, aby ukryć w cieniu twarzy bolesną radość tryumfu. Oto w jej oczach ten porywczy i gwałtowny mężczyzna przeistacza się w drżącego chłopca, staje się tem, czem w gruncie rzeczy był zawsze pod szorstką powłoką zewnętrzną: pozornym olbrzymem, który nigdy jeszcze nie opuścił godziny w biurze, którego życie toczyło się równiutką ścieżyną codzienności — praca, dom, niedzielna przechadzka z

rodziną —, i który, jak wszyscy ludzie dobroduszni, lubi pozować na libertyna i buntownika. Anna wie, że jednem słowem mogłaby go uspokoić, że go całego trzyma w swojej małej rączce, ale jednocześnie czuje, że tego słowa nie wypowie. Wydaje się jej, że opuści swego Nina, jeśli go teraz nie odbierze mężowi, który chciał go zagarnąć dla siebie. Instynkt matki każe jej teraz milczeć przed tym stroskanym mężczyzną, któremu słowa palą się na ustach.

— Coś ty powiedziała? Jak możesz mówić tak okropne rzeczy o naszym Nino? Dlaczego chcesz zatruć radość jego tryumfu? Anno, to przecież nasz Nino. Czy jego śmierć nie byłaby ciosem dla nas obojga? Czy nie jest taksamo twój, jak mój? Ja wiem, Anno, że przepastne jest morze i niebo niezmierzone. Ale on przecież jest silny, a samolot pewny. A zresztą jest ich tylu. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Gdyby nawet musiał opuścić się na wodę, przecież nie zostawiliby go samego. A samolot może kilka godzin utrzymać się na powierzchni. Nie pamiętasz, jak długo? Nino z pewnością nam mówił, tylko ja zapomniałem. Wyszło mi z pamięci, ale napewno bardzo długo. Ach jak mogłem tak głupio zapomnieć!

Marek mówi szybko, aby sobie dodać odwagi, lecz pomiędzy jednem a drugiem słowem myśli ze strachem o milczeniu, które nastąpi potem.

— Jest jeszcze radjo. Radjotelegrafiści wszystkich okrętów po drodze są uprzedzeni, i czuwają bez przerwy. Musiałby chyba zdarzyć się jakiś nieszczęśliwy przypadek, wzrost niemożliwy, prawda?

Anna pochyla głowę niemal niedostrzegalnym ruchem na znak potwierdzenia, lecz oczy jej patrzą w dal, prześlizgując się ponad szerokiemi ramionami Marka, który pochyla czoło jak żebrak.

— Odpowiedz chociaż słowkiem, Anno. Przed chwilą szorstko z tobą postąpiłem. Byłem niesprawiedliwy. Nie gniewaj się... Mówiłem więc, że wszystko jest zupełnie pewne. Motory, pływaki, radjo. Trzebaby chyba, jak powiedziałem...

A ponieważ Anna podnosi oczy ku niebu, Marek chwyta ją za rękę, ściska konwulsyjnie i woła niemal z płaczem:

— A ty... a ty, która jesteś matką, co czujesz? Co ci mówi serce? Czy on wróci?

(Przekład autoryzowany Marji Poznańskiej Oderfeld).

FRANCISZEK WITKOWSKI W WARSZAWIE

Do sympatycznych podziemi Paradisu przybył znany w Polsce kapelmistrz FRANCISZEK WITKOWSKI. Wielkopolanin, ukończył konserwatorjum w Poznaniu i wkrótce zasłynął jako wybitny muzyk i kapelmistrz.

Wszyscy uczestnicy podróży na „M/S. PIŁSUDSKI" pamiętają Jego uczestnictwo wraz z zespołem w inauguracyjnej podróży do Ameryki.

Znawcy europejskiej muzyki dancingowej podkreślają, że Witkowski i Jego zespół w niczem nie ustępują czołowym zespołom muzycznym świata.

Z powodu przyjazdu Witkowskiego i Jego zespołu, wzorem stolic europejskich, został w Paradisie zainstalowany specjalny megafon.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

ŚWIAT FILMU

Karjera filmowa Wallace'a Beery

Trudno sobie wyobrazić Wallace'a Beery, jako chórzystę teatralnego, zarabiającego dwa dolary dziennie. A jednak nie więcej wynosiły zarobki jego w początkach karjery teatralno - filmowej. Dalszym szczeblem w karjerze aktorskiej Wallace'a była gra w rolach kobiecych. Brat Wallace'a Noah był aktorem w małym teatrzyku w Kansas City, kiedy pewnego dnia młodszy braciszek uważał za stosowne zwiać ze szkoły, domu i rodzinnego miasta.

Po tej ryzykownej eskapadzie Wallace wylądował w Nowym Yorku, mając 6 centów przy duszy, ale ponieważ los czuwa nad biedakami, więc po dwóch dniach żmudnych poszukiwań pracy udało mu się zostać... nianką młodych słoniątek w cyrku. Aspiracje artystyczne Wallace'a sięgały jednak wyżej. To też po kilkunastomiesięcznej włóczędze z cyrkiem po miastach prowincjonalnych Ameryki, spotkawszy w jednym z nich brata, dzięki jego poparciu otrzymał posadę statysty w mizernym teatrzyku, wystawiającym jeszcze mizerniejsze rewje. Wkrótce potem przedzierzgnął się w tym samym teatrze ze statysty w aktora, a raz nawet, spowodu nieobecności pierwszego amanta, udało mu się zastąpić go w sztuce teatralnej „The Yankee Tourist".

Zarabiając jednak zbyt mało w teatrze, Beery postanowił wstąpić do filmu. Ale nie myślcie państwo, że został aktorem. Nie, jeszcze długo nie. W Chicago, gdzie pierwszy raz zetknął się z pracą filmową, musiał się dobrze napracować, ażeby jako pomocnik elektromechanika, regulującego światła w czasie zdjęć filmowych, zarobić 6 dolarów dziennie. W rok później awansował na pomocnika reżysera, ażeby znowu po pewnym czasie spróbować po raz pierwszy swych sił aktorskich w filmie, grając... służącą do wszystkiego w 2-aktowej komedji.

Mimo odniesionego w tej roli sukcesu Beery był zrozpaczony. Wiedział, że jako „kobieta" nie zrobi w filmie karjery. Czekał z utęsknieniem, kiedy pozwolą mu nareszcie zagrać coś męskiego, ale ponieważ to coś długo nie nadchodziło, wyjechał do Kalifornji, gdzie w jednej z mniejszych wytwórni objął stanowisko samodzielnego reżysera. Na tem stanowisku okazała się jego pięta Achillesa. Beery, jak większość tych, którym los nie poskąpił fizycznej siły, miał gołębie serce i jak z jednej strony chętnie do filmu angażował, tak z drugiej nawet najmniej zdatnym nie odważył się nigdy wymówić posady. Ta miękkość charakteru zupełnie uniemożliwiła mu dalsze pozostawanie na tem stanowisku.

Zmuszony zrezygnować z pracy przy megafonie, występuje w słynnych komedyjkach Keystona, a nawet w filmie komedjowym „Behind that door" gra główną rolę. Lecz role w komedjach nie odpowiadają mu całkowicie. Przerzuca się więc do ról dramatycznych i w nich dopiero jego wspaniały talent zajaśniał pełnem światłem. W typach charakterystycznych wybija się wkrótce na czoło aktorów świata. Trudno byłoby wyliczyć filmy, w których stworzył niezapomniane kreacje.

Obecnie Wallace Beery wystąpi w roli marynarza - renegata w filmie „Message to Carcia" wespół z Barbarą Stanwyck i Johnem Bolesem.

Dwa dni w raju

Ruchliwy Eug. Bodo po długich poszukiwaniach trafił wreszcie na odpowiedni temat. Już w najbliższych dniach przystępuje do nakręcania kapitalnej komedji p.t. „Dwa dni w raju". Akcja rozgrywa się w zawrotnem tempie, w przeciągu 48 godzin. Najlepsi komicy polscy z Eug. Bodo i Antonim Fertnerem na czele biorą udział w tej arcywesołej komedji, w której humor sytuacyjny walczy o palmę pierwszeństwa z dowcipem tekstowym. Główna rola kobieca znalazła idealną interpretatorkę, której nazwisko narazie trzymane jest w tajemnicy. Piosenki Warsa (teksty Waldena) w znakomitem wykonaniu Boda przyczynią się do wielkiego sukcesu tego filmu. Reżyseruje Michał Waszyński.



Przepiękna para kochanków: Jean Parker i Robert Donald grają główne role w najnowszej fantastycznej komedji „Upiór na sprzedaż" genjalnych realizatorów René Clair'a i Aleksandra Kordy. Film ten po tryumfalnych sukcesach w New-Yorku, Londynie, Paryżu i Wiedniu wyświetla obecnie czołowe kino stolicy Atlantic.

„Upiór na sprzedaż" Atlantik

Na film René Clair'a trzeba było długo czekać. Widział go New York, Londyn, Paryż i zachwycał się nim. Przyszła kolej na Warszawę. Sądząc z entuzjazmu premjerowej publiczności, Warszawa nie pozostanie w tyle i zgodnie i długotrwale zachwycać się będzie nowem arcydziełem francuskiego reżysera.

René Clair pokazał swój lwi pazur. Wziął prosty scenarjusz, powiedzmy nawet — banalny, i stworzył cudeńko. W innem ujęciu film, oparty na tak nieskomplikowanym temacie, jak kupno przez bogatego amerykanina zamku w Szkocji i przewiezienie go za ocean, byłby nudną banalną historją. Upiór zamkowy wydałby się nieprawdopodobną blagą, a film „położyłby się" w niedługim czasie.

Genjalny Francuz potraktował temat zupełnie oryginalnie. Historja o duchu stała się pretekstem do stworzenia dowcipnej satyry na snobizm amerykański, na powierzchowność kulturalną Yankesów, na ich zamiłowanie do błyskotek, efektów świetlnych, zewnętrznego blichtru. Subtelna francuska ironja nie oszczędziła niczego, co nosi stempel „made in U.S.A.". Złośliwość reżysera nie ominęła i filmów amerykańskich, których niektóre charakterystyczne sceny są znakomicie sparodjowane.

Bogactwo pomysłów, świetne i bystre podpatrzenie najdrobniejszych śmiesznostek i wyciągnięcie z nich często nieoczekiwanych a jednak słusznych wniosków, oryginalność ujęcia najprostszych i najbanalniejszych rzeczy cechuje ten niecodzienny film.

Jeżeli dodamy do tego staranne opracowanie techniczne, doskonałe zdjęcia, subtelność dowcipu, lekkość i błyskotliwość sytuacyj to przy nienagannej grze artystów otrzymamy ciekawy i interesujący film.

Artyści „National Film Corporation" wyczuli intencje reżysera. Gra ich stała niezmiennie na bardzo wysokim poziomie.

Przygody kochliwego upiora, jego wędrówki po zamku i okręcie, wiozącym rozebrany dom do Ameryki, poufałość i zażyłość z nowym właścicielem stanowić będą przez długi czas perłę produkcji filmowej.

J.

„Królewska faworyta" Bałtyk

Wytwórnia Warner Bros. sama zaznacza, że nie chciała stworzyć filmu dokumentarnego, że istnieją zatem w „Królewskiej faworycie" pewne odchylenia od prawdy historycznej. Istotnie film robi wrażenie fragmentaryczne. Niesposób zresztą zmieścić całej historji Madame Dubarry i jej królewskiego kochanka w dwugodzinnym programie.

Szereg barwnych fragmentów, które oglądaliśmy w „Bałtyku" stanowi dość żywe acz jednostronne oświetlenie tragicznego romansu królewskiego. Życie dworskie, intrygi i intryżki, nieustanne ścieranie się ambicyjek, pochlebstwo i interesowność dworzan, dam dworu są odmalowane dość powierzchownie. Aby nie zagubić się w całej masie szczegółów, wybrano momenty najcharakterystyczniejsze, co — być może — lepiej oddaje tło epoki, tem niemniej jednak zbyt upraszcza niektóre bardziej skomplikowane sytuacje i intrygi. Nadmierne skróty nie tłumaczą często motywów ani biegu akcji tak, że szereg posunięć wyskakuje trochę jak Filip z konopi.

Scenarjusz zajmujący, oprawa staranna, tempo żywe czynią z filmu bezpretensjonalne barwne widowisko. Znakomita gra Dolores del Rio, jak zresztą i pozostałych artystów, przyczynia się niemało do powodzenia obrazu.

Nadprogram idzie reportaż podhalański Cękalskiego „Serek i chleb", wyświetlany jednocześnie i na innych ekranach, co zapewne wraz z migocącemi zdjęciami, sileniem się na oryginalność i fatalnie nagraną stroną dźwiękową, przyczynia się do nieprzychylnego ustosunkowania się publiczności do „wypocin" naszego krótkometrażysty. J.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa